

Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

18118

18118

B. P. im. Ł.

N^o 1830



Dublet
18118

ZORAWCE





1000087119

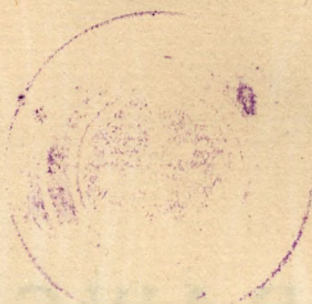
18118

ŻÓRAWCE

1830



884-8

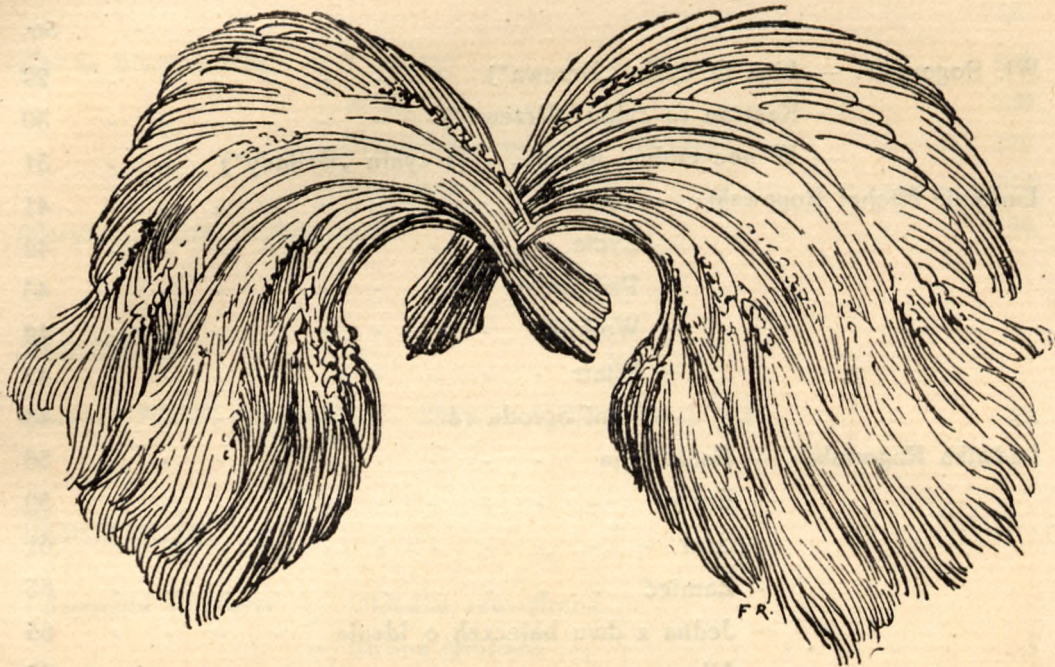




WILNO · MCMX · NAKŁAD AUTORÓW · ZŁOŻONO I ODBITO
W DRUKARNI JÓZEFA ZAWADZKIEGO W WILNIE BERNARDYŃSKA № 3



OTRZĄDO I OMIŁOWO WÓROTA GŁÓWNE JAKO JAKO
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI JÓZEFA ZAWADZKIEGO W WILNIE



SPIS RZECZY.

	Str.
Jerzy Jankowski: — Przedślowie - - - - -	9
Aleksander Zwierzyński: — „Juljusz Słowacki“ (Szkic) - - - - -	11
Wacław Gizbert-Studnicki: — Pamiątka po Juljuszu Słowackim w Wi- leńskiej Bibliotece Publicznej - - - - -	16
Wł. Rogowski: — Widzenie - - - - -	19
— Memento (Fragment z symfonji epicznej „Szlana Góra“) - - - - -	22
— Polonez (z cyklu „Tańce“) - - - - -	23
— Kąkol (z cyklu „Kwiaty“) - - - - -	27
— Z cyklu „Liryki świąteczne“ - - - - -	28

	Str.
Wł. Rogowski: — Lipa (z cyklu „Drzewa“) - - - - -	29
— Kasztan (z cyklu „Drzewa“) - - - - -	30
— W noc cudną, uroczą... (z cyklu „Ballady“) - -	31
Ludomir Michał Rogowski: — Toast - - - - -	41
— Życie - - - - -	42
— Przyjaciele - - - - -	43
— Wodnik - - - - -	44
— Wiatr - - - - -	45
— Pani ogrodu róż - - - - -	48
Ludwika Rogowska: — Bachanalja - - - - -	56
— Erotyk - - - - -	59
— Szał - - - - -	61
— Zamieć - - - - -	63
— Jedna z dwu bajeczek o Ideale - - - - -	65
— Alba - - - - -	67
— Rokok - - - - -	68
Mara Morozowiczówna: — Wizja - - - - -	71
— Erotyki - - - - -	72
— Astry - - - - -	77
— Lewkonje - - - - -	78
Jerzy Jankowski: — Leśny płacz - - - - -	79
— Przeczucie - - - - -	82
— Pogrzeb duszy - - - - -	84
— Z cyklu „Przemiany“ - - - - -	88
Benedykt Hertz: — Bunt Pieluch - - - - -	90
— Gęś i Orzeł - - - - -	91
— Dowódca - - - - -	94
— O Maciusiu Wisielcu - - - - -	96
— Sprawiedliwie - - - - -	99
Stefanja Górską: — Z życia - - - - -	102
Wanda Stanisławska: — W pogoni - - - - -	104
— Pocałunek Meduzy - - - - -	105
— Wisielec - - - - -	106

	Str
Wanda Stanisławska: — Z wrażeń - - - - -	108
— W parku - - - - -	109
— Fragment z poematu „Grzech” - - - - -	110
— Pożegnanie - - - - -	114
Aforyzmy, żarty, drobne myśli - - - - -	129

Muzyka.

Ludomir Michał Rogowski: — Erotyk — (do słów S. S.) - - - -	35
---	----

Ilustracje.

Ferdynand Ruszczyc: — Okładka zewnętrzna.	
— Strona tytułowa - - - - -	3
— Z cyklu: Wspomnienia z „Włoch”	Dodatek I
— „ „ „ „ „ „	II
— „ „ „ „ „ „	III
— Rysunki zdobnicze - - - - -	5, 8, 11, 15
Piotr Bohusz: — „Impromptu” - - - - -	Dodatek IV
Wanda Stanisławska: — Rysunki zdobnicze - - - - -	104, 105, 109, 110

Okładka (druk Intaglio) oraz dodatek I wykonane i odbite w zakładzie J. Löwy'ego w Wiedniu.

Wszystkie inne klisze wykonane w zakładzie N. Dancyga w Wilnie.

Złożono i odbijano w drukarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie.

Składał i łątał B. Żukowski.

Odbijał tekst i dodatki F. Jesionowicz.



Duchy artystów są jako żórawce stare
a wszechwiedzące
.

(Słowacki.)

Dokąd podąża lotny żórawiec, ptak mocarny i zapalony?
Nad ugorami szarej ziemi, przez morze wieczystych za-
myśleń, ku wylądowi Nieznanego Brzegu.

Zwarty trójkąt szybuje za nim, strzępiąc powietrze
na szmaty. Znużenie ziemi pozostało za nimi, z nimi idzie gra-
nie, przed nimi ogniste wieńce z gwiazd...

* * *

Zna chłop nasz zaklęcie tajemne, które dosyć wyszeptać, pa-
trząc ku górze, by odlotny klucz żórawi, unoszący się hen, ponad
blade wieżyce kościołów, padł rozproszony na ziemię. Zaklęcie
składa się z czterech słów w niepojętej, pono starodawnej gwa-
rze. Znaczyć one wyrazy mają: NĘDZA, OBOJĘTNOŚĆ, NIE-
WIARA, ŚMIERĆ. Dosyć wyszeptać mistyczną formułę, a miesza
się żelazny szyk ptaków lecących, spadają z wyżynnych sfer.
Łatwo je wtedy dobić kijem; lubo chłop powiada, że to grzech.

* * *

Wyruszyliśmy z gniazd powszedniości, młodzi żórawie, ptaki
tęsknoty, tam, kędy wiedzie nas Pani ta nasza, ku wylądowi Nie-

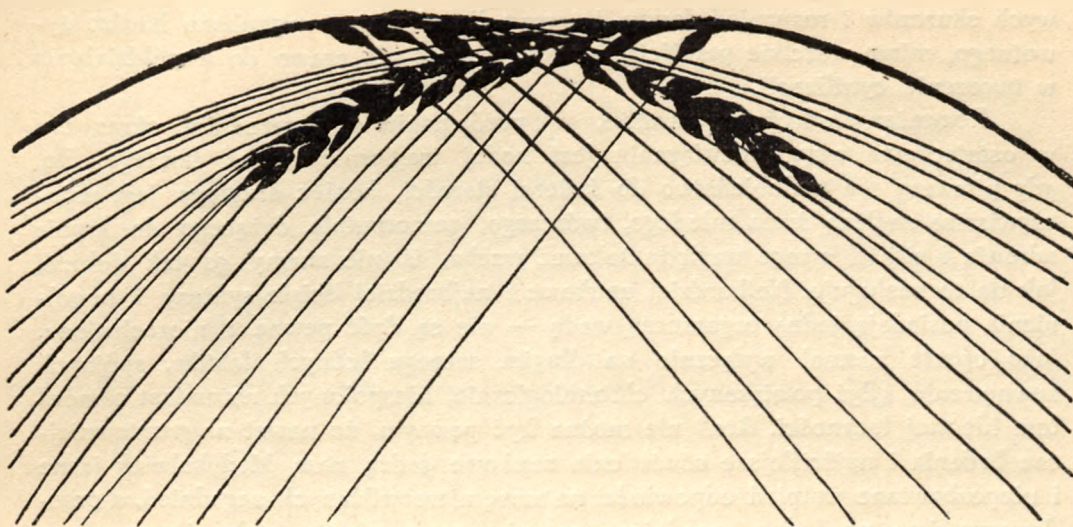
znanego Brzegu. Czy dolecimy, o to głowa nas nie boli. Może pobijecie nas kijami... Może... Los ten spotykał stada naszych poprzedników. Tem głośniejszy będzie klangor nasz na wyraju, tem dumniej zabłyśnie nasze oko, tem mocniej załopocą młode skrzydła, tem wyżej wzbijemy lot w przestworne sfery, ku wieńcom z czerwonych gwiazd.

* * *

Niewielką jest nasza obec, aliści zaiste wielką jest tęsknota za prawdziwą Sztuką, której złożyliśmy całopalenia i która kazała nam skrzydła do lotu rozpostrzeć.

Są pomiędzy nami przelotni towarzysze i tutejsi żórawie, synowie polskiej i litewskiej ziemi. Wszyscy jednak o ślubowaliśmy w duchu. Tych pośród nas, którzy trzymać się w żelaznym szyku wzlotowym nie będą mocni, zabijemy po drodze sami. Silni i zapaleni, którzy przyłączą się do naszej drużyny, jak bracia, zastąpią ich miejsca w szeregu.

Jerzy Jankowski.



Juliusz Słowacki.

Szkic.

Pierwsza połowa zeszłego stulecia w historii naszej jest potężnym epilogiem dziejowego dramatu, jaki dotknął bogate i możne ongi państwo, zasobne w czasie największego rozkwitu w pierwszej miary dobroć cywilizacyjny. Jeśli na wiek poprzedzający spojrzymy wyłącznie ze stanowiska obojętnych widzów, obserwujących przedmiotowo smutne etapy gwałtownego upadku kultury, zasad, potęgi i w końcu niezależności Rzeczypospolitej polskiej, to krótki koniec tego okresu i następna połowa stulecia dziewiętnastego przedstawić się muszą nawet oczom najobojętniejszym, jako prężny, zdrowy i naturalny odwrót w kierunku przeciwnym: ku odrodzeniu. Historycy nie oświecili nam jeszcze w dostatecznym stopniu owej pamiętnej epoki, obfitującej w wielką ilość wypadków znamiennych i szczególnie charakterystycznych dla ducha i geniusza polskiego. Pisane karty dość bogatej literatury fachowej zawierają wiele szarych, nieprzeoranych ugorów, które dalsze badania dziejowe i prace niezawodnie zapełnią świetnymi obrazami, pełnymi ruchu i życia, rozgwaru walk, nie tylko orężnych, ale również ideowych. „Szkiełka mędrców” nie rzuciły dostatecznego światła na ów różnorodny co do wydarzeń rozmach ducha narodowego, pragnącego wynaleźć mocą rozpaczli-

wych skurczów i rozprężeń formy i tereny dla ekspansji organizmu bardzo żywotnego, mimo wszelkie przejścia, i zasługującego na prawo do współdziałania w tworzeniu cywilizacji.

Rozważany odrębnie wszakże, w porównaniu z poprzednim okres ten w ostatecznym swym rozwiązaniu jest bodaj tragiczniejszy od tamtego. Bo, gdy pierwszy ma podobieństwo do śmierci starości, koniec drugiego jest najoczywistszą zagładą życia młodego, twórczego, samorzutnie dążącego do krynic zdrowia i siły. I z tego względu żałować trzeba, iż nie znamy go tak dobrze, jak na to zasługuje. Najbardziej naukowe i najbardziej ściśle syntezy i uogólnienia posiadają jedną organiczną wadę — nie są dość pewne i niezachwiane, jako oparte niemal wyłącznie na długim szeregu luźnych faktów, spójnych zewnątrznie, gdyż powiązanych chronologicznie, niespojonych natomiast cementem ideowej łączności. Atoli nie można być pewnym, że nawet najgruntowniejsze badania i najściślejsze oświecenia naukowe dadzą nam kiedykolwiek jasne i niepozabawione wątpliń odpowiedzi na masę nierozwikłanych zagadnień, a przede wszystkim na jedno zasadnicze pytanie: czem się to stało, iż powalony i zdeptyany naród, wyzuty ze wszelkiego materialnego i duchowego mienia, zdobył się w tak krótkim czasie na tyle życiowych drgnień, na taką moc niepożyłą, by nazajutrz po upadku zajaśnieć szkarłatem królewskich czynów; czem się stało, iż wydał z siebie ludzi, stworzonych nie na miarę krawca, lecz klasycznego Fidjasza, — działaczy społecznych i politycznych, już dziś, w tak krótkiej perspektywie, widzianych jako tytany; czem się stało, iż wśród narodu tego wykwitły właśnie w owym czasie wytężonej na zachwaszczonych polach działalności duchy wieszczce, bardziej żyjące dziś, niż wówczas, bardziej mocarne teraz, niż wtedy? Czem się stało? — Czy nauka kiedykolwiek na to wyczerpująco odpowie? Jeśli nie posiada tak subtelnych narzędzi i metod, by dotrzeć do najgłębszych tajników życia duchowego narodów, bezwątpienia nie odpowie nigdy. A my i potomni, jakkolwiek będziemy znali przyczyny owych tytanicznych wysiłków woli społecznej, jakkolwiek uświadomimy sobie najszczegółowiej zewnętrzną postać mrówczych zabiegów ówczesnego pokolenia, obok równorzędnych niemal wulkanicznych wybuchów energii i bohaterstwa, z zawiązanymi oczyma wchodzić będziemy do świątyni bytu duchów i idei. Zagadka dzisiejsza może się stać jutro tajemnicą, niepoznawalną dla nikogo. Instynktem bowiem i reakcją przeciwko narzucanej śmierci pytania wyżej pomienione tłómaczyć się nie dają.

Słowem, był to okres bohaterskiego czynu. Na ruinach powalonego burzą gmachu wrzała gorączkowa praca; odarty z purpury naród wznosił nowe gmachy. Nie z hałasem i łoskotem, hucznie, gwarno, lecz w skupieniu głębokiem zakładano fundamenty pod pałace przyszłego życia; a musiano budować wiele, bo wszystko niemal pożarła burza. Rychło stanęły na rumowiskach jędrne pnie: oświatę, naukę, rolnictwo, przemysł, wszystkie dziedziny pracy ludzkiej objęto praktycznym programem odrodzenia. Równocześnie, jak kwiat, wykwiłała sztuka, po królewsku reprezentowana w poezji — czynie, w poezji — prorocztwie, w po-



ezji—idei i myśli przewodniej, wskazującej szlachetne i rozległe horyzonty przyszłości. Niedługo po jutrzni nastąpiła listopadowa noc i przedwcześnie zwarzyła młode latorośle. A potem szary, smutny, beznadziejny mrok jesiennego dnia, mogiły i krzyże.

* * *

W takich warunkach wyrósł Juliusz Słowacki. Świetny i bogaty w owocne następstwa naukowy racjonalizm wileński wykształcił go. Późniejsza *działalność* Juliusza nosi wybitne cechy stałego i przemożnego wpływu tego ożywczego prądu, który skutecznie tłumił zarodki mistycyzmu religijnego, bardzo podatny znajdującego grunt na Litwie i Rusi, jakkolwiek tam właśnie, a szczególnie w Wilnie, kultura polska znalazła na czas pewien należny i stosowny przytułek. Nie ustrzegła Słowackiego ta pomyślna okoliczność od poddania się wpływom „mistycznym”. Uległ im, podobnie jak Mickiewicz, ale oczywiście z innym zabarwieniem i z innymi skutkami dla twórczości. Posłannictwo narodu polskiego — Polska Chrystusowa — stała się i dla Słowackiego praktycznym ideałem wszelkiego czynu w duchu. Mesjanizm, przeciwko któremu współczesny nam Wyspiański wystąpił z gwałtowną ironją niszczącej krytyki, skrzywił pod koniec życia racjonalistyczną syntezę poezji Słowackiego, skądinąd znowu wykazując niezmierne bogactwo treści duchowej autora „Lilli Wenedy”.

Brak dostatecznego oświecenia epoki, o czym wyżej, ujawniającego najgłębsze nurty myśli polskiej, właściwą i istotną treść wysiłków narodu, jest chyba główną przeszkodą do należytego pojęcia Juliusza Słowackiego. Obecnie żadne metody nic nie pomogą. Krytyka literacka nie może, jak dotąd częstokroć—niestety—się zdarzało, a zwłaszcza w stosunku do Słowackiego, być jednostronną, lub też za miarę oceny brać wartości wyłącznie poetyckie, literackie i t. d. Przez czas pewien wyobrażano sobie, że genjusz Słowackiego wzniosł się tylko tak „wysoko”, iż niema w twórczości jego prawie wcale związku z życiem realnem społeczności ówczesnej, że „górnosc” poezji jego stała się przepaścią, dzielącą bezwzględnie wieszczę od narodu. Na takim pojmowaniu opierano nawet ocenę całej jego puścizny. Nie tak dawno, a jeszcze zapewne i teraz, odłam krytyki, chętnie przebywającej wśród przytulnych ognisk polityki zachowawczej, usiłował i usiłuje pozbawić Słowackiego i jego twórczość wszelkich cech realizmu, przedmiotowości, a przeciwnie, uwydatnić marzycielski, fantastyczny i nawskróś nastrojowy charakter jego poezji. Przecistawiano Słowackiego Mickiewiczowi i Krasińskiemu.

Inny prąd literacki, kształtujący swoje wierzenia na zupełnej niewspółmierności poezji z życiem zbiorowem, na egotyzmie i indywidualizmie, pod własnym kątem ocenia genialność Słowackiego i również obdziera go z najbogatszej szaty, w jaką przyodziął się duch twórczy poety. Słowem, mimo całe roje zwolenników, wielbicieli, naśladowców i wyznawców, nie doceniamy wieszczka, który jednakże dziś już stoi na najwyższym piedestale uznania i bezgra-



nicznego podziwu. Słowacki po śmierci stworzył szkoły i kierunki literackie, pogłębił wewnętrzną wartość myśli polskiej i stał się na długo wybrańcem, przodującym równie dobrze w dziedzinie oderwanej idei poetyckiej, jak i praktycznej filozofii narodowej. Wszelkie płynące niewątpliwie ze szlachetnych, lecz błędnych tendencji, jednostronne i ułamkowe próby syntezy całkowitej istoty, wypaczające zasadniczy motyw jego ducha, nie zagarną Słowackiego pod jeden jakiś sztandar, monopolizujący na własny i wyłączny użytek tej eterycznej, a zarazem czującej i uzewnętrzniającej najrealniejsze porywy i dążenia narodowe wieszczej postaci. Nawet liryka Słowackiego nie jest wolną od tego pierwiastku — powiedzmy — praktyczności. Jeny sofistyka późniejszych jego krytyków odarła tęczowego poetę z różnorodnych objawów treści wewnętrznej, przełamując pod własnym kątem widzenia najbardziej ziemskie wrażenia i myśli.

Słowacki, tak dobrze, jak i Mickiewicz, jest poetą czynu. Polska w okresie narodzin talentu Słowackiego żyła czynem gorączkowym, przesiąkniętą myślą i marzeniem o bohaterstwie, o trwałej i mocnej przyszłości. Czyn mierzono nie możliwością osiągnięcia natychmiast praktycznego rezultatu, lecz skalą dążeń i aspiracji, — nie wedle sił, lecz wedle chęci. Bodaż, że w czasie największego rozkwitu geniusza Słowackiego w zasadniczym nastroju społecznym i narodowym dźwięczał najmocniej jeden ton: obywatelskość. Romantyzm na gruncie polskim przetopił się na prąd zupełnie swoisty, z przeważnym podkładem uczuć patriotycznych i narodowych, — i dlatego okres ów nazywamy słusznie narodowym. Kierunek literacki nie był jakąś oderwaną od życia zbiorowego szkołą, lecz silnie tkwił w umysłowości polskiej, wiązał się z nią bezpośrednio i, jeśli można mówić o wpływie poezji na życie społeczeństw, był awangardą czynu. Niepodobna mniemać, iżby Słowacki, jakkolwiek nierozumiany i niedoceniany podówczas, tak daleko wstecz czy naprzód wybiegł poza orbitę dążeń ogólnych, byśmy go mogli ze słuszością wynosić gdzieś w mistyczne lub eteryczne zaświaty. Byłoby to tak samo krzywdą jego, jak i naszą. Modernizm polski postawił Słowackiego na szczycie sztuki, odmawiając mu innych właściwości. Fakt ten nie potrzebuje wprawdzie usprawiedliwienia, wszakże tłumaczy się tem, iż ów kierunek literacki nie posunął się dalej we wzorowaniu się na poecie, jak tylko co do zewnętrżności. Język i styl Słowackiego jest czemś tak niematerialnem, czemś tak słonecznem i promiennem, iż mógł być pociągać wyłącznie, a natomiast ukrywać treść i głębię zawartości.

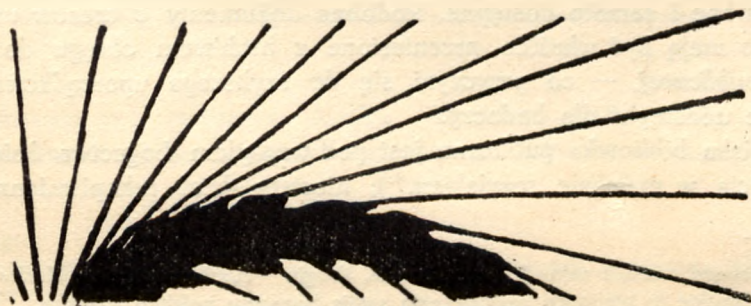
Błędem byłoby zgoła odmienne mniemanie, iż poeta nie odciął się od aspiracji ludzi współczesnych. Gdy Mickiewicz kroczył na przedzie pokolenia, nie zostawiając między niem a sobą żadnej linii granicznej, Słowacki, jako artysta znacznie subtelniejszy, bardziej duchowy, nie tracąc zasadniczego dźwięku, ówczesnego nastroju społeczeństwa, uniósł się ku górze, połączony ze współczesnością tajemniczym związkiem idei, ogarniającej wtedy pokolenie. Łączność owa wydaje się tak niematerialną, że jej nie chcemy dostrzegać, jak nie dostrzegali jej współcześni, i dlatego oskarżamy ludzi owego czasu, iż nie dorosli do Słowackiego. Pokolenia późniejsze, popowstaniowe, mając subtelniej

wykształcony smak artystyczny, intuicyjnie wchłaniać poczęły niematerialne dźwięki uduchowionej mowy genialnego poety, i stąd płynie uwielbienie, połączone często z równoczesnym niezrozumieniem jego utworów.

W ciągu ostatnich lat kilku w skali oceny genialności Słowackiego zaszła duża zmiana. Krytyka literacka dostrzegła, iż cała twórczość poetycka nowych szkół i kierunków rodzi się, jak z ziarna, z puścizny po wieszczu. Zgoła niewidocznie dla przeciętnych spostrzegaczy polska poezja nowoczesna wyrasta materialnie ze Słowackiego, wzoruje się na nim, tworząc bardzo różnorodne i liczne kierunki, często nazbyt egotyczne. Równorzędnie kształtuje się pod tym wpływem część dla genjusza, rehabilitując go w lat kilkadziesiąt po śmierci, a zarazem skłaniając szersze koła do bliższego zaznajomienia się z całą drukowaną puścizną. Ruch ten jest w zarodku; krytyka fachowa nie ma jeszcze wyrobionego sądu i linii orjentacyjnej o twórczości i wpływie Słowackiego na parę pokoleń literackich.

Wraz z tem, współzrędnie z żywszym ruchem społecznym i parciem żywiołowym ku odtworzeniu elementarnych podstaw narodowego bytu, widoczny jest związek nasz ze Słowackim. Jest on, jak pokarm odżywczy, uzdrawiający i orzeźwiający: im szybsze i mocniejsze tętno pulsu społecznego, im gorętsze i żywsze wzmaganie się aspiracji, tem Słowacki jest dla nas bardziej wyrazicielem i przodownikiem narodowej kultury, szukającej soków u świtu odrodzenia. Jutrzniany poeta w rozumieniu naszym nabiera mocy poety narodowego: nietylko mistrza słowa i stylu, lecz twórcy naszej psychiki współczesnej. Potężne i żywiołowe oddziaływanie poety urabia naszą duchowość, oczyszcza z miazmatów trującej szarzyzny zasady, idee, przekonania. I dlatego zrośliśmy się z nim nierozzerwalnie. Duch obywatelski wieszczą przekroczył ruiny i rumowiska, powstałe po roku 1863, zajął tron królewski w obywatelstwie i stał się krwią i tętnem życia naszego. Władztwo nad duszami objęte. W roku jubileuszowym nie dość znany, lecz wielbiony już wieszcz dopełnia własnej koronacji, nie tylko jako genialny poeta, lecz też jako król duch-obywatel.

A. Zwierzyński.



stemu nauczania w pierwszej ćwierci XIX w. Zasługuje na uwagę, że śląski Cieszyn nosi tu jeszcze nazwę niemiecką „Teschen“.

Można na podstawie gatunku papieru, jego liter i znaków wodnych określić dość ściśle rok, w którym ów papier wyszedł z fabryki i był w powszechnym użyciu; gdybym więc znalazł papier, noszący te same znaki wodne i te same litery (У. Ф. Д. П.), co papier Juljusza, mógłbym na tej podstawie określić w przybliżeniu czas, kiedy ta praca wyszła z pod pióra Juljusza; szukałem więc takiego papieru w archiwum miejskim (najdostępniejszem dla mnie z archiwów wileńskich), ale napróżno.

Na pytanie, skąd trafił ten zeszyt Słowackiego do wileńskiej biblioteki publicznej, nie mogę odpowiedzieć z całą stanowczością; informowałem się w tej sprawie u p. Dobrjańskiego, naczelnego bibliotekarza i dyrektora wileńskiej biblioteki publicznej, pomimo jednak swej uprzejmości dla osób pracujących naukowo p. Dobrjański nie mógł mnie udzielić informacji, skąd i od kogo trafił do zbiorów biblioteki wileńskiej ten rękopis Juljusza Słowackiego.

Wacław Studnicki.

WIDZENIE.

Wezmę ci w zimne ręce głowę rozpaloną.—Na oczy całunek położę...
I głaskać ci będę włosy...
Śpij cicho, śnij jasno, płacz nitkę tęczową, — marzenną
baśń...

A jam jest Noc, a zwą mnie Sen lub Spokój, którym jest
dziecko Ruchu i Wrzawy.

Śpij cicho, śnij jasno, płacz nitkę tęczową,—marzenną baśń...

Dziś dam ci widzieć to, co jest „Ty”.

.....
Czyli znagła się zjawił z niczego poczęty?...

Czyli drogą nieznaną, dla ludzkich kroków bezwiedną, zstąpił i był, a oczy
mej duszy mówiły, że widzą.

Podarta szata, łatana, z szerokich błamów purpury... W strzępach ramio-
na... Na głowie czapka podzwonna, trójroga. Pałeczka w ręku, pałeczka śmie-
szna, zabawna...

Kłania się nisko... Któż - to? — proszę siadać... proszę...

Twarz jakby znajoma... tylko te oczy... i broda zrudziała, strzępiata...

— Hej! — Śpisz ty!? — Spoczywasz...!? — trudem zmęczony...

Podnieś-że głowę, co-ć na pierś opadła, patrzaj mi w oczy, wczuj się
i słysz!...

Jam z dala tu przyszedł, a głos mój — echo. Z tumby Tęsknica wyklęła,
i otom jest — ja, duch.

Byłem, ja, byłem... i światy widziałem pańskie.

U nóg siadałem przejaśniewielmożnych i słowem bawiłem śmiejącem...
Dawali grosz i pańską jasną łaskę...

Widziałem dziwa... Jako to orły ku chmurom latały, a z woli pańskiej
rozmachem skrzydeł w proch rozbijały grzmotorodne zwały...

Szlachecki łów!...

I to widziałem, jako kłębie gromcę, orła lotnego, Pan przykować kazał...
Złotymi gwoźdźmi... i w dziób leli złoto, i oczy łupili żywemu, a klejnot
miast żrenic dzikich wkładali...

I skon-em swój widział...

Dziś zmartwychwstałem i żywym stawam po wsze dni wieczności, ilekroć
zgasły porwie się płomień.

Przychodzę, jak dziś, — siadam, w oczy się patrzę i mówię im, wieszczom uśpionym, których tęsknicą jest: „Już minęło“!

... Płonęły znicze... Watrą — ogniem żywym, aż przepaliły się do cna... Dziś żarowisko dogasa, popiołem szarzeje... I tylko znagła jęzor płomienisty ku wyżom się ciśnie i szarpie się, pręży, do watry gasnącej jednością przykuty i, tak jak ona, opada, zamiera, i znów się zrywa i gaśnie.—To wy, wieszcie...

A gdy zobaczę taki jęz płomienny, z grobu powstawam, podzwonem rozgłośny i w usta strupiałe pędzę oddech z piersi i dmę co siły...

Gasły wszystkie. — Zali i ty zgaśniesz?...

Zali mogą się rodzić zarzewne światlenia, by pod mem tchnieniem rozgorzały w znicze?...

— Krwawiąca w twem sercu rana. Tęsknica ci siostrą, a widzeniem jednym: „Już przeminęło“!

Żyjesz tem tylko, z czegoś sam się zrodził, a słowo twoje wieszczę: — czyn, w życiach widziany...

... Króle, zamki, rycerze, bojowe wielkie pogrzmoty, śmierć w gźle całunem, w królewskich insygnjach, i ja, błazen, śmiechem sławiony...

A oto marzeń jesteś rodzicem królewskich...

Jam przyszedł, by w twarz ci się zaśmiać tak, jak im się śmiałem: — Królom, rycerzom, panom... Bo-ś z nimi równy! — Ty, marzeń Król i rodziciel! — A mara twoja — trup; jej bratem — ja!

A śmiech mój—dech!—Zali rozdmucham jęz, w płomienno-szaty znicz?

Ręce twe błędzą w ciemności i Czynu chwycić nie mogą. Oczy two ciągle zamknięte całunkiem i głowa w dłoniach Snu zimnych ostygła...

— Zbudź się! — Śpisz...?!...

Ha, ha, ha, ha! — Oto mój śmiech miast mnie. I słyszeć go będziesz zawsze, aże chwycisz Czyn!

A teraz: — śpij!

.....

Ramiona się znagła prężeniem zbiegły i otom go chwycił w ramiona i do mych piersi tuliłem...

Jako brat tuli brata...

Błazen płakał, łkał cicho, jak dziecię...

Aż porwał się, wstrząsnął, sobą pochylił i w świat się wpatrzył, za ręką, wskazującą kędys.

— Widzisz, tam, w dali,—bór?— Spokojny stoi.

Krwawiącą łuną rozgorzały nieba... Na ziemi krew i w niebie krew, a ból niemocny w spoczynku trwa... A kiedy słońce krwawi, ku zachodowi zdążając,— dnia jutrzejszego wicher światem potrząśnie i bory zbudzi uśpione...

I oto patrz: — dziś zachód nad nami, a krew rozlewna jest wszędy... Jutro wicher zahuczy, za ramiona chwyci bory uśpione — i zbudzi! —

Więc wstań, — nieś pieśni swoje, by w dusze uśpione zapadły głęboko, a gdy noc minie i wicher się porwie, usta powtórzą, co we snach widziały.

A zwij się Ból, w dłoń czerpaj krew i w dusze lej, a łzami gorzkimi pełń czary...

A w twarze zmartwiałe w sennym bezruchu szyd miotaj śmiejący...

Marą im legnij ciężącą na piersi... Powstań upiorem zagrobnym... I męcz ich póty, aż zbudzisz jęk! — Wtedy wstań i odchodź precz, na palcach, pocichu.

Zbudzi ich ból i czuć będą, że żyją...

Ha, ha, ha, ha! — Bo życie wasze — to ból!...

I pomnij, żeś płomień z ogniska wskrzeszony, które dogasa i zmienia się w popiół, w proch...

Więc byt twój: zgaśniesz, wraz z zarzewiem mrącem, lub żyć będziesz wielki w płomieniącym zniczu — gdy go rozniecisz...

A twój byt — Narodu byt.

Warszawa, 23/IX, 1908 r.

Memento.

Gorze temu, co sny młodzieńcze zdeptał, zanim kwiecie rozwinąć zdołały, by zapachem a barwą pieśń życia wyśpiewać...

Gorze temu, co myślą wzleciał nad siebie i wpatrzon w bezkresy idzie zbłądzony, — ślepiec-niemowa, — przełęczniony ciszą. Niemasz dlań słowa, któreby usłyszał; i niemasz zaklęć, by łzę wskrzesić mogły; i niemasz serca, by dla niego biło, bo własne grozą mózg płomienny pełni, w skronie kołacząc niemocnym łoskotem.

Kędyż obrócisz krok? — I po co rękę wyciągniesz? — I jakież słowo zawołasz?

Ty, — ciałem trup! — Ty, — myślą Bóg!! — Ty, — duchem niemowlę!!! Gorze wam, coście zbłądzili na drogach prawdy i na rozdrożu, w pomrokę świtu, wieniec cierniowy oddali Panu i w prochu ciało tarzali niemocne.

Gorze wam, coście kielich goryczy, od Pana wam dany, w pokorze strachu od ust oddalili.

Gorze wam, gorze, — bo oczy wasze, krwią przerażenia nalane dziko, widzieć nie będą, — blaskiem porażone, — jako na nieba wypłynęło Słońce. — Rozgorze w rosach na kwietnych kobiercach miljonem iskier. miłosnemi barwy i tysiąc-krotnie lik powtórzy jasny Królewicz — Słonko — Prawda.

Gorze wam, coście marzenia zdeptali, by na pół drogi zawiędnąć — złamani, jako cykorja, co pieszczoty chciała od wichru gońca... Wiotka bylina ku ziemi kwiat chyli, splakane rosą płatki w pyle szarga, — a wicher w polu pieśń rycerską śpiewa i idzie, depcąc przychylne byliny.

Gorze tym wszystkim, co padli pod krzyżem i na Golgotę swoją wnijść nie mieli siły, — bo dla nich niemasz dnia, by zmartwychwstali. — Śmierć dla nich Matka, — kwiat ich wicher dziki roztarga, a o cichym zmroku anioł wysieje rosę zapomnienia na wiotką bylinę w pyle podeptaną.

Jerzemu Jankowskiemu.

Warszawa, 30/IV 1909 r.

Polonez

(z cyklu : „Tańce”).

Skon... skon...
Życia plon...!

.

Idź-że w tan,
a weź dzban,
coś go łzami nalał w bród...
Twardy chód —
męski płas
wplataj w krąg.
Motaj wąs,
nie szczędź rąk —
karabelę chwycić i bij!

Żyj —

potęgą!

bij —

a tego!

djabłom w piekle radość czyn!

A jak w rękach życie uschnie,
wtedy — giń!

Zbieraj plon, —

życia dań!...

Idzie Skon!

Położ broń, —

chwycić się za łeb,

bij się w skroń,

kłoń się w pas —

sam do ciebie przyszedł Czas!

Na wylotach czerwień ma,
na koronie pałek ćma: —
wielki Pan,
możny Pan!
Czemu-ż z nim nie pójdziesz w tan?!

.
Cicho kroczy,
wolno stąpa, —
na prawicy miara skąpa
wiąże oczy...
Idzie Czas!

Tu zabierze w złocie panka,
z niwy chłopka,
tam — kochanka
i do worka ich zabiera
twardy sknera
Czas.

.
Złoto syp mu po-pod nogi;
może wstrzyma chód.

.
Gdzież twe bogi,
karabele i kontusze,
gdzież te pańskie wielkie dusze?
...Jaki chłód...
Gdzież twój dom?

.
Dom twój sąsiad karczmy miły;
płot przegniły dróg nie grodzi,
że choć tędy Bóg nie chodzi,
dla cię droga bieży prosta.

.
Idź-że w tan,
kiedyś wielki z panów pan!

Motaj wąs,
bież-że w płas,
klaskaj w dłoń,

kłoń się w pas. —
Wraz
nadejdzie tutaj Czas.

.

Z drogi, w bok,
chłopski tłumie!
wraz pokażem, co kto umie,
aż ci zmrok
w oczy zajrzy chmurą nocy. —
Do północy pij
i bij,
panie bracie,
co ci w drodze stanąć zechce. —
Hej! —

.
.

Chłopski głos...
Chmura kos...
Cichy strach!

Rzucaj trzos, —
przyglądź włos,
co ci poszedł tłumem w strop,
kiedy z kosą stanął chłop! —
— Na kolana, w rządek, Pany!

Choć w powietrzu jęczą tany,
choć złoto dzwoni, brzęczy,
choć się miód po ziemi tęczy, —
na kolana, — w rządek, Pany! —
będą tutaj inne tany. —

— Przyszły Chłopy...!

Już zebrane zboże z pól,
już im z pleców zeszedł ból...
Jasny Panie!
przyjm wiązanie

z żółtych kłosów, krwi i kos! —

— Twardy Los —

Czasu brat...

Chociaż pięknie Państwo prosi,
chłop im z karku czapy skosi...

Siwy włos,

tęgi wąs, —

pójdą w płas —

w jeden stos!

.

Żyj —

potęgą!

bij —

a tego!

Djabłom w piekle radość czyn! —

Kraków, 24/VI 1907 r.

Kąkol

(z cyklu „Kwiaty”).

Kąkolu, Kąkolu, co na rżysku stoisz,
Kąkolu, Kąkolu — Nocki się nie boisz?
Przyjdzie ciemna, nadejdzie po ornistem polu,
stulisz płatki, utulisz, kraśniący Kąkolu.
Na niebie rozłoży dziane samodziały,
purpurę i żółtość i liljowe pasy,
a mrokiem pokryje polny świat ten cały.

Idzie Nocka, idzie, bez pola, bez lasy,
a chyla się, a gnie się, a na glebę orną
rozkłada błyszczącą tę rosę wieczorną.
A kwiaty utula, a pieści, a tuli, —
kwiatkowe sieroty, co są bez matuli.

Kąkolu, Kąkolu, Nocki się nie boisz,
że tak samotny na tem polu stoisz?
Insi twoi bracia we zboże co wrośli,
kosa pozbierała w słonku błyskająca,
siostry twoje z wiatrem gdzieś po świecie pośli,
ostała się jeno dola twa tęskniąca.

Kąkolu, Kąkolu, wiatrom się pokłaniaj,
kłaniający się nisko kwiat w pole rozganiaj,
bez te rżyska puste, po ornistem polu, —
pokłoń - że się Nocce, tęskniący Kąkolu.

Siostrzyczce — Romie.

Kraków, 24/II 1908 r.

Z cyklu: „Liryki świąteczne“.

Świat mi mój cały — kwietna łąka.
Ja, motyl, w słońcu kąpię skrzydła,
a choć „wiatr-myśli“ moje loty błąka, —
z kwiecica miód piję, płatkami się pieszczę
i w skrzydeł tęczne stroję się mamidła.

Cóż mi, że świat mój — kwietna łąka
umrze i w tumbę weźmie skrzydła? —
że mi „wiatr-myśli“ moje loty zbłąka — ?
Ja wciąż radością słoneczną się pieszczę,
że skrzydeł moich jaśniej mamidła.

Wilno, 25/VIII 1909 r.

Pannie M. Morozowiczównie.

Z cyklu: „Drzewa“.

Lipa.

Wirydarz śpi. Z kościoła organ huczy.
Słońce rozkłada złotolite chusty.
Lipy dwu-rzędem, gałęźmi, by z,tuczy,
cieniem gościniec okrywają pusty.

Południe. Żar. — Od grobów chłód się czai.
Lipy wśród znoju ciężko ważą kwiecie, —
w konarach pszczelej brzęczy polot zgrai, —
błękit od słońca żar w promieniach miecie.

Furta ozwarta. Mur dachówką rudy.
Dal niezmierzona, zbóż łanami złota,
błękit słoneczny, — skowronkowe złudy.

Pół-śpiewem w progu dziad pacierze nuci,
w ziołach pod murem śpi blada tęsknota, —
od Lip się sący woń omdlałej chuci.

Ludce — Bratowej.

Wilno, 10/IX 1909 r.

Z cyklu: „Drzewa“.

Kasztan.

Niedzielnym wczasem zgromadzone rzesze,
pod kolumnadą drzew starego parku,
toną w zieleni w rozgłośniej uciechu
pokrętym węzłem o stu-barwnym karku.

Na wodotrysku rusałka przy skroni
strumień w kaskadę rozrzuconą przędzy;
po wodnej stawu kryształowej toni
mkną cicho białe, spokojne łabędzie.

Powietrze jasne. Pod niebem w błękicie
królewski dworzec między kasztanami,
w rudo-zielone otulon spowicie,

jesienny dywan swą białością plami.
Snują się srebrne babio-letnie wicie.
Kasztany ronia liść krwawymi łzami.

Bratu.

Wilno, 11/IX 1909 r.

W noc cudną, uroczą...

(Z cyklu: „Ballady“).

Już północ wybiła... Jeszcze się waży, nosi głos dzwonny po-pod polepą, od kąta do kąta... Cicho zasiada pod belki, nito w przędzy pająk...

„Przybądź li królem w złotogłów odzianym, w purpurę, gronostaj...
Na włosy w kędziorach koronę przywdziej złocistą... Na ręce weź pańskie mnie nagą i całuj me usta, bierz pełne piersi... kochany!

Po śnieżnej zawiei, w wichrowym poświęście, na białym polataj rumaku, w rycerskiej zbroicy, z przyłbicą na oczach i w hełmie na włosach złocistych... Skocz w pędzie z konia przed dworem z modrzewiu... Z pobrzękiem wejdź do mnie... do świetlicy... Kochanku mój!

Al w pazia osobie, bard zawieś na piersi i muskaj palcami smukłymi struny... otrząsaj złociste kaskady dźwiękowe... W ramionach twoich zasną ci chutko... oczy bierz moje i piersi... ciało wiń moje we wieńce różane...

Przychodź, przybywaj, duchu marzony, kochanku mój wierny, mężu losem wybrany...

Błysnęło. — Zachwiały się ognie, u świec woskowych płonące, wysoko, nad srebrne oprawy, nad pałki woskowe...

Przytuliła mocniej do piersi falujących lustroko oburącz. — Ukryła za ramą lice wstydem płonące dziewiczym, ciekawą żądzą... Dwoje oczu błyszczących wpatrzyła w głąb' lustra w wielkim zwierciadle, stojącym na stole, tysiąc-kroć odbitego szeregiem. — Łokcie oparła na biodra... Kaskadą opadły włosy na plecy nagością różowe. — Nogi toczone w cieniu podstolnym i biodra... Stopy, na skórze niedźwiedziej oparte, zginęły w kudłach...

Poświęta żółtawa od świec woskowych po stole się kładnie, białą zasłanym tkaniną. Talerze w kwiaty, sztucze srebrzyste, półmiski jadłem wszelakiem pełnione... Kwiatowa powódź... Kielichy z kryształu i butle z napojem... Przeglądają się w ich szklanych bokach, brudem piwnicznym zwalanych, pobliski świecowe...

Huczy zawieja, śnieg się przewala od nieba do ziemi; na pola równinne białe dywany rozkłada.

— „Przychodź, przybywaj, duchu marzony, kochanku mój wierny, mężu losem wybrany...

Błysnęło powtórę... I znowu świece pochyliły ognie, dymy powłóczne ku górze wzbijając...

— „Z śniegów toni, z lasów głębi, wicher pędzi,—dusze goni... Głos wyroczny tu mię przywiódł.—Otom jest: twój duch i mąż... Ni król bogaty, ni rycerz w stal kuty, ni paż układny, rwący pieśni z strun... W myśliwskiej jam goni do ciebie tu przyszedł, na głos, co czarem zwie“...



— „Kochanku, zrzuc szaty, włóż wieniec na głowę, z róż dzisiaj uwiłam ja sama... Za stołem siadaj, lej wina tęczowe w puhary złociste, kryształne kielichy... I z czary pij wina, i z ust moich pij młodość, i z oczu mych miłość i szal... W ramiona bierz męskie moje ciało drżące i całuj, całuj“...



Cichutko, ścieżyną nadrowną, blade Poranek, królewicz - sierotka, do dworu podeszedł... Pod okno się skrada w leciutki osnuty wiaterek... Do szyb zamarzłych dłonie przyłożył i twarz okrągłą... Przytulił, mocno przyległ...

Migota korona w paprociach lodowych,—tęczowe błyski sypie rzęsiście...

Ujrzał dziewczę... Leżała w opuchach białych niedźwiedzi. Zwisła cudna głowa... leją się włosy potokiem... otwarte usta i oczy przymknięte rozkosznie...

Ręce do dołu opadły bezwładne, — ciężą pełne piersi...

Posłał królewicz całunek promienny. — Po biodrze wygiętem, po nogach toczonych — błysnął matowo...

— „Sen-li to był?... Czy cudny zjaw?... Al bajkę może piastunka bajała...?“

W srebrzonych świecznikach płoną krótkie ogarki, woskiem oblane w sople zastygłym...

Świtno w pokoju, na polu dzień biały...

I wino po stole rozlane... I wianek rutowy na ziemi...

Hej! nie sen to, nie bajka!—Kochanka gościłam w noc cudną, uroczną...

Poszedł, gdy kokot na zapłociu ranek ogłosił pianiem żałosnem... I rogu zbył na stole...

...Mój złoty róg!... Kochanku mój“...!



I oto księżyc po sześćkroć, pełny i rumiany, w okienko zaglądnął świetlicy...

Po-nad światem Słońce—król. Miłościwie promienie rozdawa, po pańsku wodę źródlaną z rzek czerpa, zapachy z łąnek pije kwiatowe, po drzewach owoce maluje...

W modrzewiowym dworze tany. — Kasztelan córkę za mąż wydawa... Grzmia kapele... Z bandoletów palą, w szable się biją w podwórku, na koniach harcują... Wiwaty krzyczą, za zdrowie, za pomyślność, za życie długie, szczęśliwe...

Ślubnym węzłem ręce związał opat u ołtarza Pańskiego.

Kolasami zajeżdżali, z batów palili, z guldynek...

Koniami młodzież toczyła u kolas... Tryskały śmiechy, wykrzyki...



Dziecina płacze w kołysce rzeźbionej pod zwieśną kotarą. — Piastunka klęczy — ucisza.

Pani młoda w karle siedzi; podle siebie, na zydelku, skrzynię kowaną ogląda.

Pan chodzi po izbicy, belkami w stropie nawisłej. — Sumiasty wąs poszarpuje, w karabelę trzaska... Frasunkiem się troska... Dawno, dawno myśl jakaś, ni to sen, po głowie mu chodzi, by zjawa ginie nieuchwytna...

Otworła pani skrzynię, wieko uniosła ciężące. — Klejnotów dobywa:

— Czy się słońce we wodzie odbiło jarzące, odbłyśkiem ślepiącym?...

Czyli rosa we słońcu migota?...

Czyli po szybie zmarzniętej w kwietne gałązki lodowe pobłysk przeleciał, migocąc, znagła rzucony?...

— Rozkłada pani klejnoty: — we złoto oprawne kamieńce, paragon wody najczystszej, bursztyn żółtawy, perły... Rogu złotego dobywa...

— „Żono, Żono, — zkąd ten róg?”

— „W noc Andrzeja dał kochanek...”

— „A kiedy-ż to, kiedy?...”

— „A łośńskiego roku, przed godami naszymi”...

— „Żono, żono, — to mój róg!... Wyrzezany błyszczący znak... Dzień przed świętem Andrzeja w boru'm zwierza ścigał — myśliwy samotrzeć... Za jeleniem gnałem konno, w jar zmyliły śniegi drogę... Runął wierny koń... Przyszła Nocka, zaginęły ślady pod śniegiem, pod białym... Zawieja światem leciała sinolica... Ni z jaru wyjść, ni konia dźwignąć...

W otchłannym jaru ułapiła Nocka i podle siadła po lewicy, a po prawicy Mróz... Jęli bajki naszeptywać, cudne pokazywać dziwa, kolejką, porządkiem...

Porwałem się, — zmarzną... Morzy Sen...

Zadąć w róg, — druhów zwać!...

Niemasz rogu złotego...

— Czyli w śnieżne runął głębie?...

— Zawisł li w boru na sęku dębowym?...

— Al jedle we zworza gałęźne chwyciły?...

Niemasz rogu złotego...

A otm znalazł róg... W twoich ręku'm go odnalazł... Żono, żono, —
dał ci duch... To djabelski czyn! "...



Połamiał opat śluby, porwał wiązania małżeńskie, na pola, na lasy wypę-
dził i wodą poświętną pokropił.

Złemu na szkodę...

Z rogu złotego ofiarę sercową łać kazał, na ołtarzu zawiesił.

Chrystusowi Panu na chwałę...

Żonę, co ducha gościła w noc cudną, uroczną, łańcuchem przykować na
ryнку przykazał.

Ludziom na śmiech i naukę, — jej na wieczną hańbę...

Wł. Rogowski.

Zbójna Góra, 18/VIII 1908 r.

Erotyk (do słów S. S.).

L. M. Ragowski. Op. 4

Allegretto poco agitato

semplice

mp Patrz Potrz Po-la

pro-żniatła, Księż-ka ci-che i te --- skne

Ja-le kło-sów bło-ko-ja w po kło-sach. O

crescendo

pójdź pójdź przez te fo --- la prze płynię drzy

f

se-brnem ży-tem ya--ko wie-czy swoi-ty trześcia

f

sym --- bol

Molto agitato

piu mosso

Molto agitato

mp Przy-tul się do mnie

agitato

Niech po- -- cie- -- f? two- go cia- ta

cie- -- plo. *collant.* mf Daj mi two

con colore
u- -- sta niech z nich ze rwe szal! daj: kich
accelerando
accelerando

nie przy to mych po - ca - lun - - - - - ków

mf crescendo

Andantino

Przy - - - - - tul sie

ff marcato f

do mnie ry - - - - - je mi

mf

o - - - - - pleci bia - - - - - te - - - - - mi ra - -

mio --- ny ai ro --- slosz
crescendo

od --- dech mi ra ---
p

-- prze x... na gły drena opry tom --- re
p f sp

Andante
Andante
pp qp

molto voce

pp *Pójdź* ... *Pójdź* *prier te*

pp

mf ... *wy* ... *Pójdź*

p *b*

crescendo

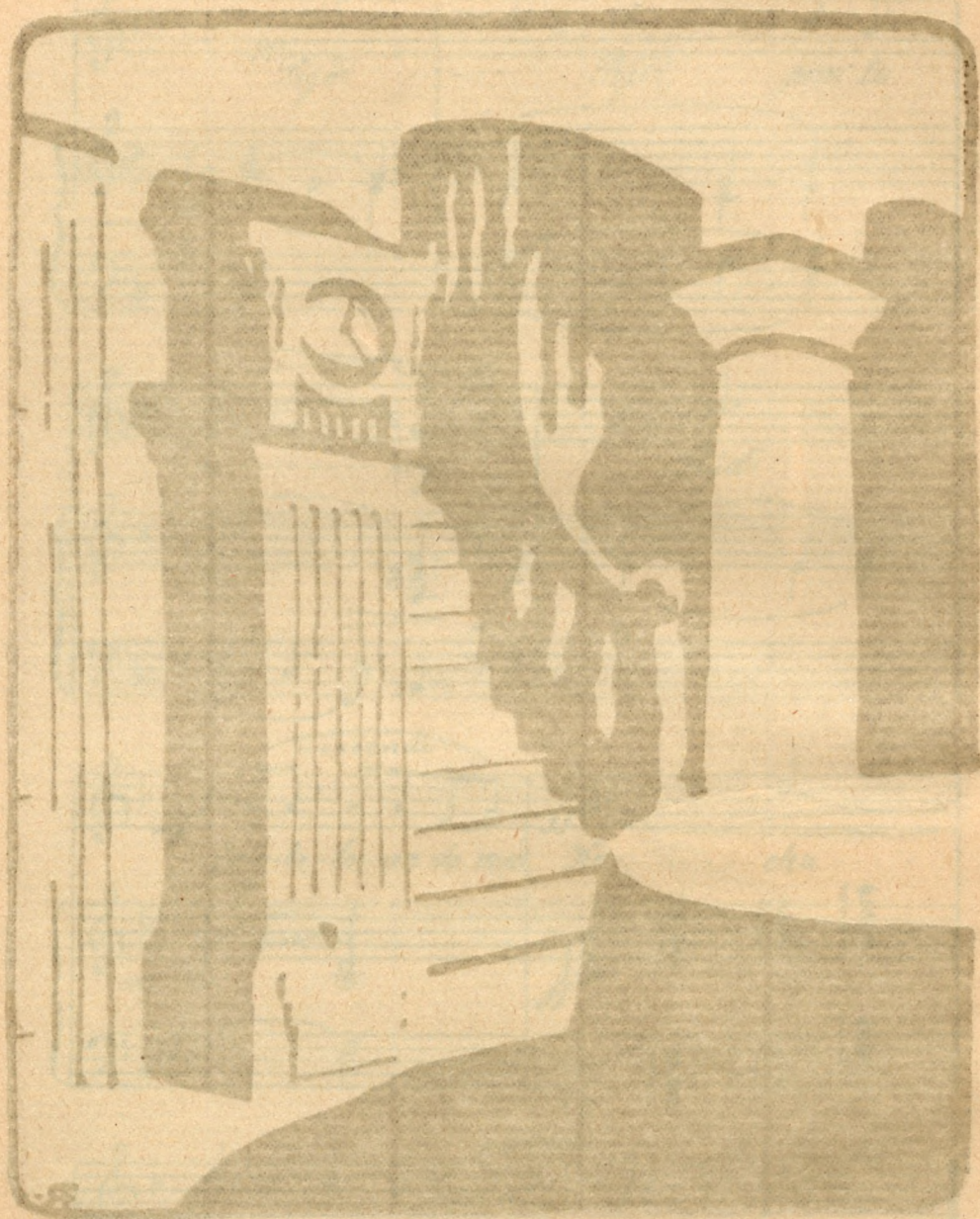
mf *przy-tu-lo-na do mnie* *ff* *Nie* ... *cha*

mf *ff*

na *ff* *Pójdź* ... *pp*

8. *ff* *loco*





Toast.

Wróży to szczęście, czy niedolę, —
rozsyłał mi się puhar w dłoni...
(w pogwarze ucztę błyska, dzwoni
krąg wina pełnych kruż). —

Może w biesiadników kole
jest wróż? — niech objaśni znak!

Cisza zaległa. Niepewności
upiór przytłumia rozśpiewany,
dźwięczny chór szklanic. Krwawią rany
wspomnień, — a wróża brak...
Szczęście, dola, to gra w kości —
gdzie, jak padnie — z mąk, czy zórz?...

Wróż niepotrzebny! znak odgadłem:
Rozsyłał mi się puhar w dłoni, —
dajcie więc inny. Niech zapłoni
wino tę nową kruż. —
Wznoszę toast: łączmy stadłem,
co „już“ przeszło — z „czego brak“! —

Wacławowi Berentowi.

Warszawa, 31/XII 1907 r.

Życie.

Samotny siedzę nad księgą rozwartą
(Wicher szarpie oknami, zawodzi i płacze).
Myśl ciężka, niema, kłębi się nad kartą
I nie w stanie przeniknąć jej słowa tułacze—
— I że siedzę nad księgą, że myślę — nie baczę. —

Tłum trosk powszednich myśli me osędził
I patyną niemocy pokrył czucia moje; —
— Czas, — by wiatr liście, — trosk wiele rozpędził...
„Jutro“ może przyniesie znów powszednie znoje,
Ale jutro-tajemne — więc... troskom dostoję. —

W cieniu jabłoni tak dosytu pełni
Spoczywamy, niemocni rozkoszą i szalem;
Przed nami świeża ruń w słońcu się wełni,
Jabłoń cicho obrzuca nas okwieciem śpialem...
...Niemasz myśli, szal — myślą w przyrodzeniu całam!

Rozkosznie płyną leniwe rojenia,
Dosiadają z beztroską obłoczne łabędzie,
W dal suną; jedna—myśl w drugą się zmienia...
...Trosk wczorajszych nie pomnę—czyż muszą być wszędzie?
„Jutro“ — oczom zakryte — ponoć dobrem będzie! —

Bratu krwi i duchem.

Wilno, 12/III 1909 r.

Przyjaciele.

Miałem przyjaciół niegdyś dwoje:
powiewną wieszczkę i satyra;
ona uczyła mię tęsknoty,
marzyć uczyła, cuda śnić, —
— on, patrzył wkoło, kpił ze świata
i uczył mię tak samo kpić.

Długo w przyjaźni tak — we troje
żyliśmy pięknie i szczęśliwie,
gdy wtem mój satyr szydzić zaczął
z przezroczych sukien wieszczki mej.
Szydził, a potem gniew zapłonął
na jego czołe przeciw niej.

Raz, gdy, w głąb siebie zapatrzony,
siedziałem cicho o zachodzie,
straciłem z oczu ich oboje, —
— inaczej jakoś myśl mi szła; —
— i w tej to chwili satyr zradny
spełnił potworny zbrodni czyn:

Uderzył łapą — zmiażdżył w proch
chucherko psotne — wieszczkę moją,
a teraz kpi z całego świata;
w oczy mi patrzy — i też kpi. —

Jerzemu Jankowskiemu.

Warszawa, 15/IX 1907 r.

Wodnik.

Zdziką wściekłością o nadbrzeżne skały
Miotła falami, kłębi się i jęczy
Morze bez granic. W pian stubarwnej tęczy
Dumnie zrab skalny łni od bryzgów cały.

Na złomie wodnik. — Sznur cienki, pajęczy
Mota i perlę nań za perlą niżej;
Wkoło wodnice obsiadły go chyże,
Bacząc roboty, — a każda się wdzięczy...

— Naszyjnik gotów! — Chodź, czeredo pusta!
Nie dla miłości wam go ofiaruję!
Ty weź, bo ty masz najpiękniejsze oczy...

Teraz nałamię w przejrzystej roztoczy
Nieco koralu i djadem zgotuję
Tej, która ma z was najpiękniejsze usta.

Żonie — Kochance — Siostrzycy duchem.

Zbójna Góra, 18/VIII 1907 r.

Wiatr.

Hej, hajjatoho! rozhulał się Wiatr!
Rozparł się pod boki, gębę strasznie wydął —
I hy—baj po świecie — a huka. —
Hej, dobry muzykant z ciebie, mości Wicherze!
Na wszyćkiem grać potrafisz — w pysku siłę masz.

Skręcił dudę z piasku — zadął —
— Cienko gra —
Cisnął; — skręcił drugą — zagrał —
— Zła i ta. —

Prasnął o ziem dudy,
Z wierzbą zatańcował,
Gwizdnał se na dziupli,
Oczeret skudłasił,
Zachychotał w jarze,
Zamiótł jałowcami...
...Nad trawami cupnął,
Popieścił, pogładził;
Przykucnął se, odsapnął,
Poźrzał w górę...

— — Aahej!

Hej! hajjatoho — taj poszedł —
Bić obłoki, te wysoko — a chmury kłębiaste.

Chycił chmurę — w krągłą kulę urobił, jak ciasto;
Przysiadł mocno, skrzepił się — tego chmurę pcha. --
Uu do djaska — głupie chmursko, — wlaźło między dwie,
I warczy —

— Nie chce z miejsca iść!

Plunął w garść, w złości wielkiej, prać po chmurach jął;
To ci rwetes, to ci huk! jedna ponad drugą wlaźi,
Popod chmurą chmura zmyka — warczą za się, a zmykają.
Bo pan Wicher zły — i bije sierdziejście, że ha!
Hej, hajjatoho, hej! śmieje się pan Wiatr!

.
A hańtam co, u biesa?! jedno chmursko na ziem legło?!
Uu, gadzino, chcesz się skryć!?

Poczkaj, zaraz cię nauczę!...

...Cicho sfrugnął z wysokości, plackiem legł, skrzepił się,
Odsapnął, a nadął się, — powoli, a z mocy całej
Pcha chmurzycę — las

.
Stęknął bór westchnieniem mocnem.

Konar szepce konarowi:

Mocno stać — idzie Wiatr —

Bacność, bracia, — będzie bój!

.
Sapnął Wiatr — twardo idzie — zdwoił moc — rozparł się —

— Huu! idzie po konarach śpiew wielmożny, śpiew prastary.

— Kłonią głowy uroczyście, przegwarzają pieśń pradawną,

Pieśń bojową, pieśń mocarną, pieśń odwiecznych walk i zwycięstw...

— Kłonią głowy uroczyście — poszum wznosi się — opada...

.
Hej, hajjatoho, hej! gwizdnął z mocy całej wiatr.

Rwie gałęzie, liście strząsa, szarpie, kręci, w ziemię wtłacza. —

...Raptem stanął — przysiadł cicho, rozdał chrapy —

— Baczy coś. —

— Hii! — pachnie — to nie chmura — bór ci jest, mocny bór;

Skrzepił w sobie całą moc — całą siłą w las ugodzi.

Hej, ha! co za wrzawa — trzask gałęzi, szyszki lecą,

Szum gwałtowny — zamieszanie —

Mocny Wiatr — mocny bór.

Bój zacięty kipi w krąg...

...Sporzą chmury na dół: — Wiatr

Z lasem się boryka. —

Haj na niego! deszczem bić,

Ogniem pluć, gradem prać —

— Zabić pana Wichra!...

.
Uu, źle, myśli Wiatr — obu wrogom nie podołam!

Przez gałęzie śmiga chyżo, gdzie co może, skubnie drogą: —

— Szyszkę, gałąź, listek, źdźbło — w pole, w pole, byle prędzej

...Hej, biednyś, mości Wichrze!

Zmógł cię bór, zmogły chmury,

Skrzydła w lesie potargałeś,

Sprał cię deszcz, zbił cię grad...

.....
Popod lasem z sierdżistości
Parę razy się zakręcił,
Za łby porwał młode świerczki —
— Chce wyciągnąć — ani rusz!...

.....
Zasromał się mocno Wiatr: — Słabym jest — wstyd mi bardzo,
— Kaj się skryć? — warczą chmurska — żem potęgi zbył...

.....
Wkoło spojrzał smętne okiem: w brózdzie źle, w lesie źle, —
— Hań — nad rowem wierzby sterczą — wlaź do dziupli, pojękuje,
Popłakuje nad swą dolą, czeka, aż mu skrzydła wzrosną,
Aże pierze się wysuszy . . . , . . .

. Haj! zahula wtedy Wiatr!

— Las połamie, chmury zmiecie, aż na cały świat ten jasny
Najdzie blady strach! —

Żonie poświęcam.

Kraków,
25/VI 1907 r.

Pani ogrodu róż.

(Chanson de geste).

(Kurtyna się podnosi. Widać szarą zasłonę z małą kurtynką pośrodku. Przed małą kurtynę wychodzi herold z czterema trębaczami. Stroje z XIV wieku.)



Po otrąbieniu hejnału Herold mówi:

Herold.

Księżniczka Krymhilda nudzi się! —
Za mury grodów, przed warowni dźwirza,
niech wszędy rozbrzmiewa nasz zew.
Rycerze władne, smętliwe truvery,
w imię sztuki wesołej,
ku zabawie księżniczki
śpieszcie mieczem i lutnią
dać powinny hołd.

Królewską nagrodę zwycięzca otrzyma:
księżniczki własnymi rękoma spleciony,
purpurą krwawy wieniec róż
i pocałunek ust gorących
Krymhildy — księżniczki,
i noc miłości, noc szalem pijaną
w Krymhildy łożnicy dziewiczej.

.
Księżniczka Krymhilda nudzi się! —
W imię sztuki wesołej,
ku zabawie księżniczki
śpieszcie mieczem i lutnią
nieść powinna dań.

(Herold odchodzi z trębaczami. Z za kurtyny słychać chór.)

Chór. Szpalerami, przedziwnie ciętymi,
Śród purpury ognistej róż kwiecia,
Płynie zwiewna, przezczysta i biała
Księżniczka.
A do stóp jej róże głowy ścielą,
Wonie gędzą pieśń miłości słodką.
Wietrzyk igra z jej szaty zwiewnemi...
...W słońcu róże błyskają czerwienią,
W słońcu bielą zjaw księżniczka lśni. —
— Wielka cichość upojeniem dysze...
.
Alejami przedziwnie ciętymi,
Śród purpury ognistej róż kwiecia,
Płynie zwiewna, przezczysta i biała
Księżniczka.

(Chór milknie. Mała, szara kurtynka podnosi się. Na tle krat gotyckich, po których pną się krwawe róże, stoi Gądek i mówi. Za kratami chór niewidoczny.)

Gądek. Ruch, zamieszanie, tumult i radosna wrzawa
na dworcu warownym Krymhildy-księżniczki.
Rycerskie pachołki tłumami zaległy
sienie, podwórca; — pełno gwaru, śmiechów.
Ożyło zmartwiałe, ponure zamczysko —
i lśni pogwarem wesołym, junaczym...
.
Śród pocztów przybyli rycerze.
.
Przybył możny pan z Bernu — Dytrych;

z Akwitanji dwaj bracia:
Zygfryd rudy z Walterem,
głośni mieczów jednością braterską;
z Bordeaux Huon nadciągnął,
słynny cięciem koncerza,
groźny w walce (*ma w służbie
kartą Oberona.*)
Z Oranji przybył Wilhelm,
władny rycerz i pan
(*wielki to piewca powabów niewieścich,
wesołej sztuki mistrz.*)

Wilhelm i bracia z Akwitanji
znaczeni są szarfami dam;
nie o nagrodę idą walczyć, —
— rycerski zwyczaj nakazuje
zabawić damę, gdy się nudzi;
(*zwyczaj to piękny, a z nich każdy
ma już we krwi wspaniałą gest.*)

.
Ostatni przybył, nieznany nikomu
skromny lutnista.
Kto on i jaką walczy bronią, —
— nikt nie wie.

.
We świetlicy ogromnej, za stołami, na ławach
siedzą rycerze.
Brzęczą złote puhary;
niby klejnot, miód stary
błyska w słońcu. Bez miary
płyną lśniące nektary
śród barwistych plam z okien — witraży.

.
Na szarym końcu skromniutko przysiadł
lutnista.
Zgłębił uczciwie zawartość misy
cynowej,
zwolna smakuje małmazję starą,
krwawistą
i sennem okiem pieści lubieżnie
dzban wina.
Za pasem jego krótki miecz,
strój na nim dworski, nie do walki;

obok, na stole, ułożył cichą
luteńkę.

Gdy minie słońce niebios szczyt,
w zapasy pójda rycerze...

Cichy podwórzec turniejowy
pachoł obsiewa piaskiem złotym; —
— wśród głuchej pustki krążgankami
bezgłośnie stąpa gość najpierwszy —
— śmierć. —

Chór. Szpalerami przedziwnie ciętymi,
Śród purpury ognistej róż kwiecia,
Płynie zwiewna, przezczysta i biała
Księżniczka.
A do stóp jej róże głowy ścielą,
Wonie gędzą pieśń miłości słodką,
Wietrzyk igra z jej szaty zwiewnemi...
...W słońcu róże błyskają czerwienią,
W słońcu bielą zjaw-księżniczka lśni...
...Wielka cichość upojeniem dysze...
Alejami przedziwnie ciętymi,
Śród purpury ognistej róż kwiecia,
Płynie zwiewna, przezczysta i biała
Księżniczka.

Gądek. By chorowody barwnych motyli,
obsiadły łoża krążganków strojne,
światłne urodą grona dam.
W łoży środkowej, w bieli przezczystej,
z dumnym spokojem na białem czole,
czeka księżniczka —
— Krymhilda.

Za chwilę pójda rycerze w bój. —
Wrzeczadze bramy rycerskiej zawarte; —
Heroldy stoją, — baczą na znak,
czekają końca modłów przed walką —
— turniejem.

Niby w pasiece pogwar pszczelny,
gędzi podwórzec szmerem cichym: —
— szepty, półśmiechy, szelest szat,
śród strojnych, dworskich dam
w krużgankach.

Wtem, — ach, to śmiałość nadzwyczajna!
Obcy lutnista do księżniczki
podchodzi.

Prawicą lutnię w górę uniósł,
lewą na sercu rękę położył
i mówi:

— „Słońce już zmierza ku zachodowi,
noc w mroki ziemię otuli...
...Pani! chciej spojrzeć! Noc pryśnie strwożona,
bo oczy twoje — sto słońc.”

Co za bezczelność! do księżniczki
lutnista ośmielił się podejść!

W kornej postawie sądu czeka...
...księżniczka zezwała łaskawie...
...Siadł u jej nóg...
...w luteńkę trąca;...
...coś mówi, nuci — księżniczka słucha...

Zagrzmiały trąby, wrzeciądze warknęły;
wichrowym pędem, siłą huraganu
rumaki w stal kute runęły w podwórzec,
śpiżowych niosąc rycerzy.
Kraż zatoczyły — stalowy kraż.
Przed lożą księżniczki zaryły kopyta,
na zadach przysiadły —
— stanęły.

Rycerze ukłon bojowy, dumny
złożyli księżniczce — pani.

Lutnista szepnął coś księżniczce...

...Na rycerzy spojrzała, wachlarz usta zasłonił,
lekki uśmiech rozjaśnił spojrzenie.

Stanęli rycerze w bojowy szyk;
hukają rogi, olifant grzmi...
...Skinęła księżniczka niedbale wachlarzem, —
— Rycerze idą w bój,

Opadły kopje zgodnym ruchem;
żeleźce szczękły po kropierzach;
łopot proporców, błysk pancerzy...
...suną przemożnie.
Ni to wichura łamie drzewa,
ni to ze szczytów pędzi zrab skalny...
...natarli rycerze.

Ponad ciżbę bojową wysadzony z rumaka
mignął Wilhelm — i padł na boisko.
Dytrycha kopja prysła skruszona,
syta zwycięstwa.

Rycerze stają w szyk bojowy,
próbują kopij. Pachołkowie
popręgi koniom zaciągają, —
— cichość przed walką.

*(Lutnista szepnął coś o pieśni Wilhelma-mistrza,
która ginie pod ciosem pana z Bernu niedźwiedzim.
Na Dytrycha spojrzała, wachlarz usta zasłonił,
różem gniewu spłonęła biel czoła.)*

Natarli po raz wtóry, — walczą w pojedynkę...
...padli bracia Zygfyrd z Walterem.
Dźwignęli się, słaniając, — pragną walkę wraz podjąć, —
— sił nie stało, — opadli zemdleni.

Pachołki rycerzy zwalczonych wynoszą,
odwodzą rumaki bezpańskie, szalone. —
— Ostatni bój czeka Huon'a z Dytrychem...
...Któryż nagrodę otrzyma?...

*(Lutniśta w ciszy w struny brząka
i bajkę nuci o królownie,
o której miłość walczył niedźwiedź
z garbatym karłem.)*

Usta do krwi zacięła,
wachlarz kruszy dłoń gniewna,
na lutnistę spojrziała zdziwiona.

.....
Huon koncerz odsłonił,
Dytrych mieczem zabłysnął...
...pokłon dumny księżniczce złożyli.

.....
Ostatnia walka...
zagrzmiał olifant;
rycerze natarli, zczepili się bronią;...
...tuman kurzu osłonił walczących.
W lśnieniu koncerzy, niby w błyskawicach,
walczą rycerze.

.....
...Huon zadrżał w strzemionach,
uniósł koncerz mocarny...

.....
Dytrych legł, krwi purpurą
barwiąc czerń zbroicy.

.....
Do łoży księżniczki podjeżdża zwycięzca
po wieniec róż płomiennych.
Wszyscy czekają...
...cichość wielka...
...Księżniczka bierze wieniec róż...

.....
Co to, pomyłka lub zły żart?
...różami wieńczy skroń lutnisty...
...wszak nie był w boju, — jak zwyciężył?

.....
Nieodgadnioną jest księżniczka...

.....
I znowu martwy stoi gród,
w słońcu błyskają stare mury, —
— cisza i pustka dokoła.

.
Księżniczka dała wieniec róż,
pocałowanie ust gorących
i noc miłości bezpamiętnej
lutniście.
A gdy z dnia brzaskiem zmarła noc,
księżniczka z wysokości baszty
w głąb niemą strącić przykazała
kochanka. —

Chór (zupełnie cicho, — przy końcu rozplywa się w szepcie).

Szpalerami przedziwnie ciętymi,
Śród purpury ognistej róż kwiecia,
Płynie zwiewna, przezczysta i biała
Księżniczka.
A do stóp jej róże głowy ścielą,
Wonie gędzą pieśń miłości słodką,
Wietrzyk igra z jej szaty zwiewnemi...
... W słońcu róże błyskają czerwienią,
W słońcu bielą zjaw księżniczka lśni,
Wielka cichość upojeniem dysze...

.
Alejami, przedziwnie ciętymi,
Śród purpury ognistej róż kwiecia,
Płynie zwiewna, przezczysta i biała
Księżniczka.

Ferdynandowi Ruszczycowi.

Ludomir Michał Rogowski.

Wilno, 13/VII 1909 r.

Bachanalja.

Wino! — hej!
 W kruże lej! —
Dajcie wina, lejcie wino,
Niechaj winem spłynie kruż.
Niech króluje nektar boski
 Wpośród nas! —
Precz z pamięci, bóle, troski,
 W szalu czas! —
— Skronie niechaj nam owiną
Wieńce z lilji, krwawych róż...
 Nieście, proszę,
Kadzie wina, kwiatów kosze!
 W Menad i Satyrów kole
Niech zasięde chociaż raz.
— Chcę ucztować przy ich stole,
Chcę ja szaleć, póki czas! —

Wszak przy winie
 Nie zaginie
Dziewiczości mojej cześć!
— I Bóg szalał przez dni sześć
 I jeszcze raz,
A praźródłem jest czystości
On dziewice czyste tworzy,
Hej! szal to przywilej Boży. —

Tyrs w mej dłoni,
W drugiej kruż. —
Za Menadą Pan w pogoni! —
Chwycił już...

.....
W taneczników hasam gronie,
Heu hej!

Hasam, w takt chylając skronie,
Przy Menadzie każdej Pan...

Hej! — bachiczny wiem tan.

Dajcie wina, lejcie wino!

Niech szaleję, póki czas.

— Nie zaginie moja cześć. —

Wszak Bóg szalał przez dni sześć!

A że czuł się jakoś tak,

Chcąc naturze robić wspak,

— Choć miał wtedy sporo lat —

Stworzył świat!

Sześć dni szalał stary Bóg,

A gdy pustą była kadź,

Przestał tworzyć, — poszedł spać! —

Po dniach sześciu oprzytomniał

I, gdy marny twór przypomniał,

Ślad pijaństwa zetrzeć chciał,

Więc puharem w ziemię cisnął!

Puchar, pędem lecąc z góry,

Nie wyminął jakiejś chmury,

Padł! — i w bryzgi się rozprysnął,

Ponad ziemią w niebie zwisnął,

Świeci teraz tłumem gwiazd!

Stańcie już...

Braknie tchu...

Nieprzytomna, wpół szalona,

Stoję tu...

...Świat tańczy dookoła —

Jeszcze pali gorąc ust...

Gdzieś mi przepadł wianek z róż,
Gdzieś świątecznych zbyłam chust...
Czyjeś garną mnie ramiona,
Ktoś mnie wzywa, ktoś mnie woła!! —
Czym ja chora, czy szalona...
Jakże wracać do kochanka,
Kiedy zbyłam w tańcu wianka,
Zbyłam mych świątecznych szat?!

Tam tańczą dookoła...
Mam-że tu samotna stać?...
Splotę wianek z róż i bzów,
W świeżym wianku stanę znów,
Tylko toczcie wina kadź!

Hej! szaleje wkoło świat,
Co mi tam dziewicza cześć,
Dajcie szaleć póki czas! —
Wszak Bóg szalał przez dni sześć,
Później, choć już był staruszkciem,
Krużę wina wypił duszkiem
I oszalał jeszcze raz,
Wtedy stworzył mnie — dziewczynę...
.
Dajcie wino, lejcie wino,
Wino, hej!
W kruże lej!

Ludowi.

Kraków, 2/VII 1907 r.

Erotyk.

Gdy zniknie słońca krąg,
Gdy zblaknie jasność zórz,
A biały ten wiśniowy sad do snu się ukołysze,
Gdy siódmy raz zaklaska słowik w białym bzie,
Ty przyjdź, ty przyjdź...

Kochanko, w nocną ciszę
Przyjdź, jasna białą szat, —
Przyjdź, wonna włosów falą,
Bo serce moje drży,
Miłości żarem dysze!...

Czy słyszysz mnie?...
— O luby, słyszę, słyszę.
Więc, cicho przejdiesz sad,
Nie trącisz krzów, ni drzew,
Nie trącisz ptasich gniazd.
Niech słowik piosnkę nuci,
Niech drga miłości śpiew!...

Za sadem igra staw,
Wsluchany w rechot żab...
Czasem topielcem woda rzuci,
Czasem wypłusnie rybą falą...

...Ty wokrag idź
I nie bacz na wiosenny wiew,
Co wpada w tłum przybrzeżnych trzcin
I pieśni ich harmonję kłóci...
Nie znaj, co strach, nie znaj, co lęk,
Lecz cicho idź nad brzegiem wkrag...

Gdzie las ochwyta staw w ramiona,
Tam chatka ma...
O ty wyśniona! —
W próg chaty wstąp; —
Ja czekam cię, królewskie ścieląc łoże.
— Izba przybrana w świerki, —
Z pułapu zwisną kwiaty, —
— Ach! tylko wyjdź w czarowną noc
I przestąp sień mej chaty...
— A poznasz, co miłości czar,
Kielichem będziesz szczęście pić...
Ach tylko przyjdź,
Ach, tylko przyjdź...
Kochanku, — serce trwogą kona.

Kraków, 10/VI 1907 r.

Szał.

Poczula ziemia gniotące obręcze,
Lodowych ciężar skał,
W rozpacz krzykiem jesiennym wybucha,
Po raz ostatni nawołuje druha,
Targając sieci zdradliwe, pajęczce,
Na pomoc wzywa szął.

.

Tam na ugorze popod czarnym borem
Tytany wiodą bój;
Prężą się bary, gną straszne pleczyska,
Raz wraz kopyto słup kurzu wyciska;
Już przeogromnym stają się upiorem,
Bezkształtny tworząc zwał;
A bór im wtórzy piorunowym grzmotem,
Wichrowy nucąc śpiew;
Słońce w nich ciska rubinowe groty,
Paszcze ich żoną wściekłości jazgoty; —
Walą się cielska na ziemię z łozgotem,
Harcuje miedzą szął.

Zległy olbrzymy zębatym krzesańcem
Wśród szumiących drzew,
A las zawiesza mieniające bursztyny
I krwawy koral; szumią błotne trzciny...

.

We mgle wieczoru drga bachicznym tańcem
Pijanych Menad rój:
Kwilą piszczalki, dźwięczą tamburyna,
Rozbrzmiewa szalu zew.
Coraz Bachantkę dziki satyr chwyci, —
Rozkosznie dyszą wśród haszczów ukryci!...

Na złotych liściach leż tak, jedyna.
Kochanku, gdzieś?!... ty mój!

Ludowi.

Końskie, 10/X 1908 r.

Zamieć.

O próżny, próżny życia trud, —
Zawieja śniegiem bije w twarz:
— A masz, a masz,
Za płochość życia, za igraszki,
Za chęć rozkoszy, kras i złud
Poznaj, co chłód! —

Czuję, jak lód mi ścina twarz...
Nie mogę iść, a pragnę w dal!
Wicher na uschłej wierzbie gra...
Wykrzywił gębę, rozwał stóg!...
Miałam pod stogiem nocleg mój! —
A wicher drobne słomki gna...
Porwał mi resztę zdartych szmat...
Na wierzbie zwiesił poszarpane...
Otulił wierzby czub w łachmany
I ze mną wicher idzie w tany! —

Zawieja śniegiem bije w twarz...
Ciało mi ścina lód...

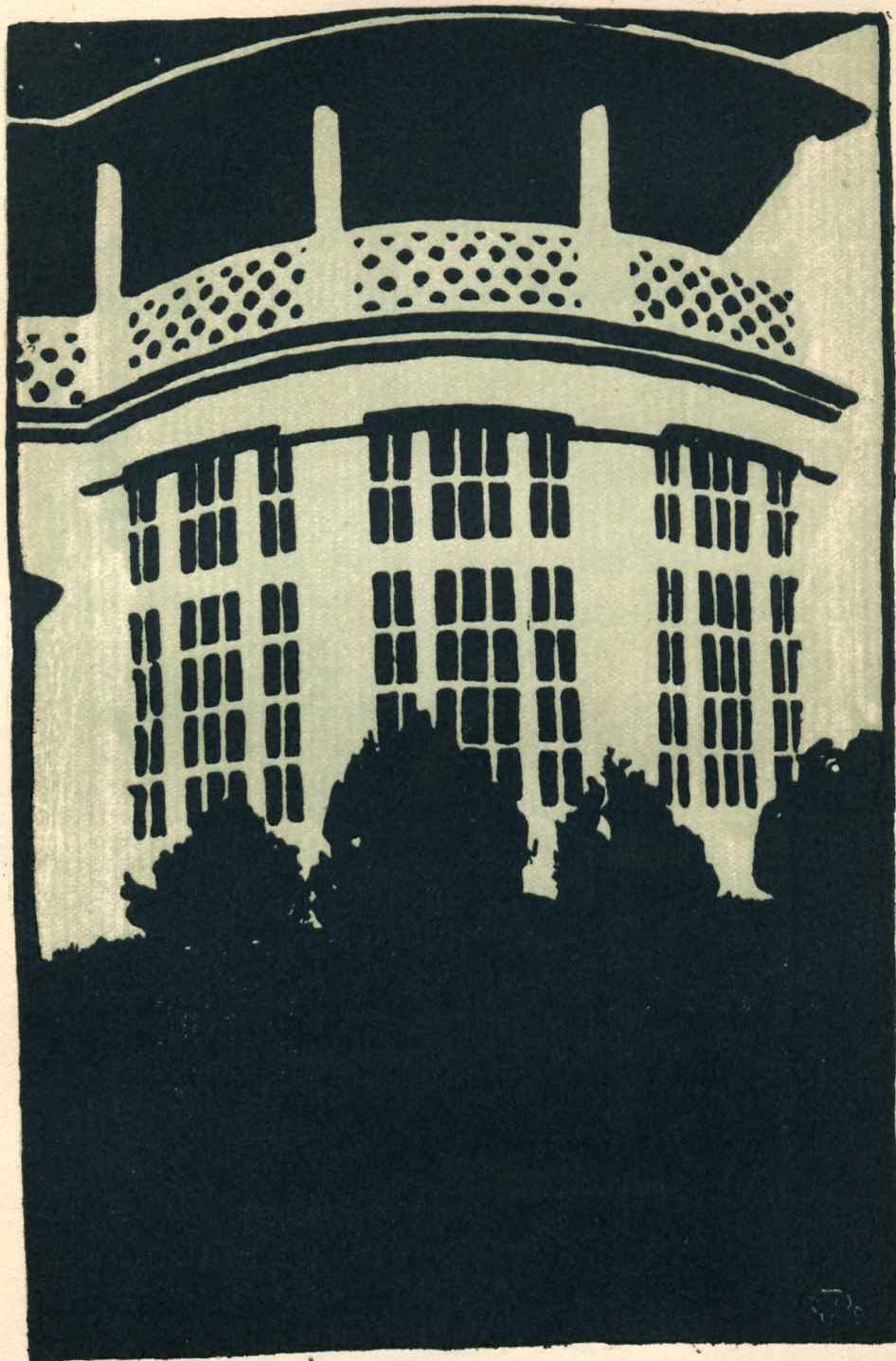
Ach! jaka męka, jaki trud
Tak z wichrem tańczyć wśród zawiei!
Nad rozwichrzonym tańczyć stogiem,
W zmęczonej piersi nie mieć tchu,

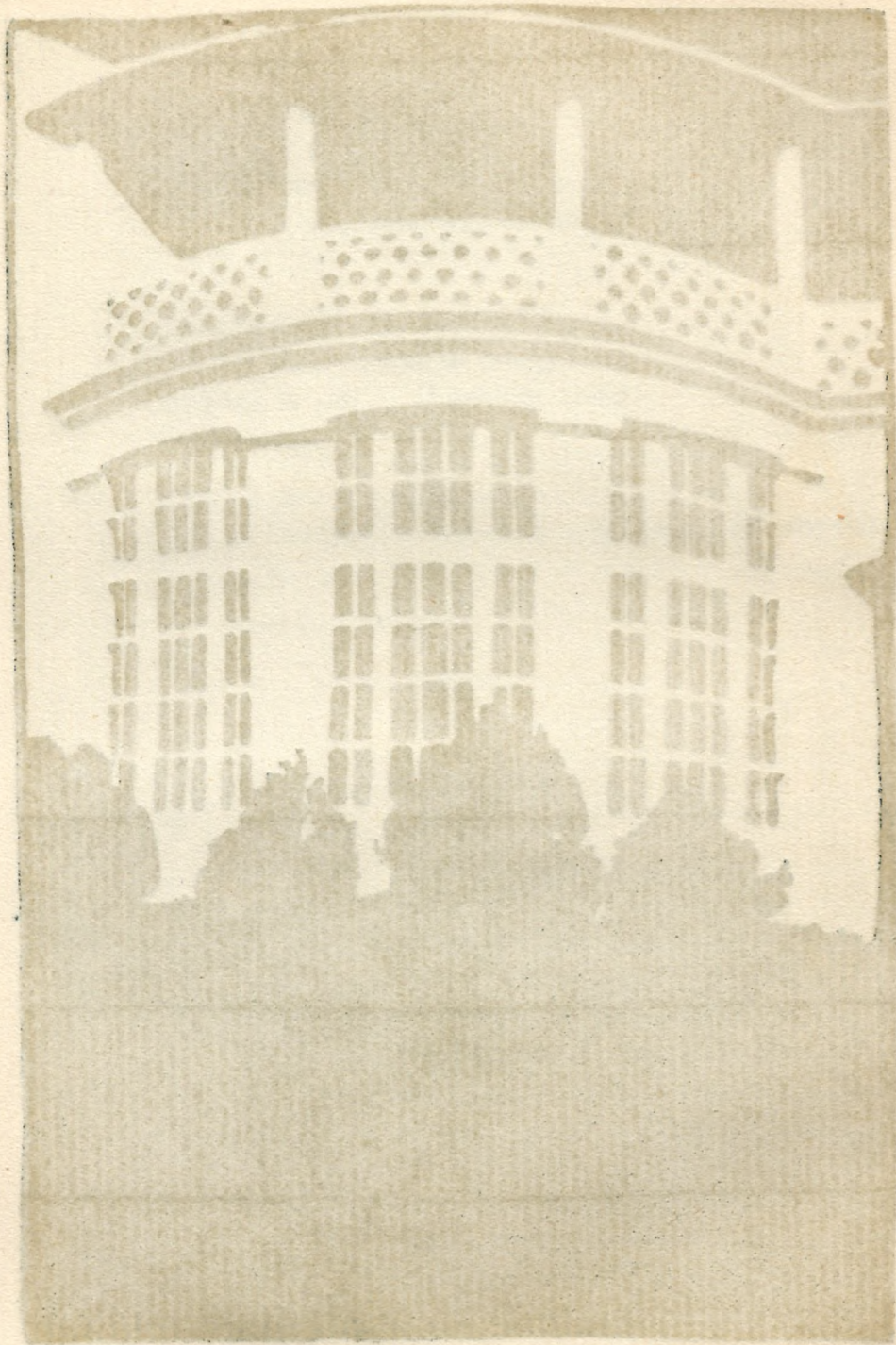
Z zamarłem sercem, bez nadziei. —
W umarłych tan... w ten trupi szął
Porywa mnie przeklęta moc...
I chmurna idzie zimny noc...
A stóg rozwiany co do dźbła...
Chusty na wierzbie wicher targa...

Zaprzestał tańca, rzucił ciało,
Umarłe ciało rzucił w śnieg...
Popędził w dal... Przekłęty zbieg!

Ludwika Rogowska.

Brwinów, 30/XI 1907 r.





Jedna z dwu bajeczek o ideale.

Atacy byli w sobie zakochani,
Gdy szli przez łąkę o słoneczka wschodzie...
Oboje chustą jedną się okryli,
Dziecięce główki k'sobie pochyłili, —
Włoski jej złote oplotły mu szyję,
I tak szli cisi, piękni, jak lilije,
Co się w jeziora przeglądają wodzie; —
A szli tak lekko, miłością przybrani,
Że nawet srebrnej rosy nie strącili
Z kielichów kwiatnych.

...O rajskim ogrodzie
Marzyli idąc; smok straszny się kryje
Tam, w gąszczu ziela... jabłek złotych strzeże...
...Bali się smoka. U bramy pancerze
Lśnią, trumny złote zuchwałych rycerzy,
Co padli w boju... stos wielki trun leży!...
...Idąc, najświętszą sławili Maryję,
By ich broniła w straszliwej przygodzie:
Głośno śpiewali odpustne pacierze...

.
A tacy byli w smutku pogrążeni,
Kiedy wracali o słońka zachodzie...
Zmęczone główki ku ziemi schylili
I bardzo, bardzo wzajem się wstydzili;
On zachmurzony, u niej łezki w oczach
Świeciły. Gwiazdki na nieba roztoczach

Dziwiły im się, dlaczego w niezgodzie
Wracają smutni, ku ziemi schyleni,
Jakby się rosie wieczornej żalili.

Wracali tacy w sobie rozpłakani,
Że nie widzieli rajskiego ogrodu,
Ni złotych jabłek, ni straszego smoka,
Bo brzydki oset wytrzeszczył swe oka
Dwa fioletowe z pośród leśnych haszczy
Na nich; — złękli się także jego paszczy,
...Z drogi wrócili — i z tego powodu
Żałość serduszka im gryzła głęboka...

Ignacemu Kozielowskiemu.

Rzym, 9/IV 1908 r.

ROMANZERO.

ALBA.

Słodko wśród bzowych, srebrnych kiści,
Minstrele nocy nam wtórzili,
Gdyśmy miłosne brali śluby,
Za świadka mając blask miesiąca; —
Jeszcze na ustach płoną żary,
Ciało przejmuje dreszcz rozkoszy...

Matko miłości naszej, nocy słodka,
Niech świt nas minie i ranek nie spotka!

Kochanka w trawie sennie dysze; —
Wstąpiłem dzisiaj w rajske sady,
By złoty owoc uszczknąć z drzewa,
Na łąk przeczyste chryzolity
Krwawe posiałem tulipany,
I leżąc w półśnie, półomdleniu

Pragnę, by wiecznie chwile nocne trwały,
Lecz już boleśnie brzmią ranne hejnały!

Ze snu przebudza się kochanka,
Złocistych włosów stroi płaszczem
Przeczyste ciało; — kwiat jabłoni
Chłodzi nam lica rozpalone,
O luba, pragnę twej pieśczoły,
Lecz próżno wabisz mnie objęciem:

Już na twem łonie piersi mej nie złożę,
Bo zdradnie śledzą nas jutrzniane zorze.

Wilno, 2/V 1909 r.

ROKOK.

Komnaty wewnątrz księżyc bada,
A gdzie poświata padnie błada,
Zatrąci starą złotość ramy,
Byle się dotknie rżnięć kryształu,
Wpełźnie w serwantki wewnątrz pomału,
By musnąć zlekka białe damy:
Wszędy roziskrza złoty żar,
Roznieca wkoło błysków czar
I z ciemni wskrzesza bladych mar
Postacie senne.

W rogu komnaty mrok się chowa;
Tam go poświata księżycowa
Nie ścignie, łachman jego szaty
Przedziwnej grąży w cień struktury
Krzesło i kładnie zwid kontury
Na ścianie złoconej komnaty...
A w krześle starem babcia śpi,
O dawnych, lepszych czasach śni,
Na zwojach siwych włosków drży
Promień księżycy.



...„Ach! na mój honor, margrabino,
Żart zbyt okrutny, młode wino
Piją prostacy, ale chez nous!“...
...„Czy książę będzie dziś na sjeście?“
... — Je vous assure, że było dwieście. —
...„W jaskrawej sukni? — c'est mauvais goût!“...

Wesoły, strojny dzisiaj dwór,
Woń kwiatów, rozgwar, śpiewny chór,
Leniwy wdzięk, bébé l'Amour
Wszechwładnie rządzi.

— Z pod stropu sali brzmi fanfara.
Za pierwszą, sunie druga para,
Za niemi dalsze, gracją strojne...
Gawota tańczą wszystkie pary,
Czarowny taniec, gawot stary,
Brzmia tony słodkie i upojne;
Najpierwsza w gronie dwornych dam,
Gawota w pierwszej parze tam,
W pośród ukłonów, śmiechu gam
Tańczy markiza.

Markiza z gracji swojej słynie,
To się ukaże w krynolinie,
Złotych dormezach, białej fryzie,
To znów przywdzieje strój pasterki,
A zawsze wdzięk jej tak jest wielki,
Że każdy dziwi się markizie;
Niejedna padła kropla krwi,
Na imię, co tak słodko brzmi,
Ale markiza srodze drwi
Z męki serdecznej.—

Pachnący półmrok w buduarze,
Światło przebija przez witraże
Ampli. Rozkosznie wśród atłasów!
Markiza śmieje się czarownie,
U stóp młodzieniec. — „Niewymownie
Kocham cię pani, wśród zapasów
Radbym cię zdobyć! „... Trzasły drzwi,
Co to?!... Babunia wznosi brwi:
W jaskrawem świetle lampy lśni
Stara komnata.

Westchnęła babcia, jeszcze senna
Patrzy, jak błyszczy stara, cenna
Serwantka pełna porcelanek,
Tam, markiz kłania się markizie,
Markiza w koronkowej kryzie
Mdleje; — zaś Amor wody dzbanek
Figlarnie trzyma... Pachną bzy
Wspomnieniem dawnem. — W oczach łąy
Markizy — babci... Więdną bzy, —
Prysły marzenia.

Rzym, 6/IV 1908 r.

Pani Eugenji Kierbedziowej.

Ludwika Rogowska.

Wizja.

Rycerski huf!... Rycerski huf!...
... powietrze drży.—
... pobladłe kwiaty chylą skroń...
przydrożne zioła chylą skroń...
korony drzew schyliły skroń...

Rycerski huf!...

drży gwiezdna toń. —

Przydrożne głązy, ocknione ze snu, — drgnęły.

...

I pędzi rycerski huf
z poświstem groźby,
z szumem piór,
z chrzęstem żelaza,
z widmem potęgi bładem na czele —
pędzi huf!...

Hen, wcwał! hen, wcwał! —

po Słońce Nowe pędzi huf...

Hen, wcwał! hen, wcwał!...

zanika... ginie świetlisty huf...

...

Pyłem tanecznym prochy drżą,
pomdlałe chylą kwiaty skroń...

...

upojny szalu dreszcz!...

Erotyki.

O nie, nie odchodź...
Powojem mych ramion
otoczę szyję twą, o mój kochanku.
Mego całunku szalem cię przykuję,
rozkoszy czarem upiję, odurzę!
...Omdlewać będziesz w mych pieszczot ogrodzie...

Zostań, nie odchodź!

patrz — pięknam, o, widzisz...
Rabów dokoła pochylone głowy...
a ja królestwo mej duszy i ciała
oddaję tobie...
i twego jedynie chcę pocałunku,
od ciebie tylko wezmę upojenie
O tobie tylko śni me białe ciało,
o tobie bajki mi opowiadają
łąkowe kwiaty, słońca żary białe...
O tobie szepce w cichą noc upojną
woń lip, co dokoła
rozsiewa czary swych omdleń przedziwnych...
O tobie mówi mi cicha melodja
pieśni nieskończonych,
co giną w oddali...
O tobie, o tobie, cała natura,
jakby huraganem, bije w me skronie...
Snuje sny przedziwne...

O zostań, zostań...

Powojem mych ramion,
duszy mej smutkiem cichym
wizją o szczęściu
przykuję ciebie...



Piłam z twych ust.
Potęga twoja i moc
przeszła w mą duszę.
I odtąd muszę
iść za twą gwiazdą
jak senna ...
za gwiazdą, co przez mroki
wiedzie mię wzwyż —
iść muszę...



Rubiny łez...
Perły zadum bolesnych...
Szkarłaty bólów...
Tęcze snów niewyśnionych...
Płomienie pragnień nieukojonnych...
Pomdlałe róże smutków...
 Otaczają wieńcem mą głowę...
O! jakżem bogata!
O! jakżem piękna!



Idę... a wkoło woń róż
co na mą głowę pochyloną sypią się białe.
O róże, białe, ciche...
jakżeście inne od tamtych, które płonęły...

Idę... a wkoło spojrzenia,
co cisną się do mych kolan, piersi, stóp...

O jakżeście inne, wy, oczy,
od tamtych, które kochałam...

Idę... tuż przy mnie usta,
żądne całunków, szukają moich ust...
a moje stulone, jak kwiat,
śnie o tych, które umarły...



Wszystkie ludzkie bóle i męki,
skargi i płacze
cierniem się wryły
w me serce.

Łzy wszystkie ludzkie
naokół spłynęły gorące,
że smutna stoję
w tem morzu krwawem.

I wszystkie ludzkie jęki i klątwy,
jak wicher ogromny,
piersią mą targają.
I wszystko, co dobre było,
a poszło na zmarnowanie;
co piękne było,
a zbrzydło;
co mocne było;
a padło: —
jękiem ogromnym
do stóp mi przypada.

Wyciągam ręce ku skrawkowi słońca,
które zza chmur się chyli.
Może to złuda?
a przecie wyciągam ręce
i łkając chylę głowę:
— „Przyjdź, Słońce! przyjdź, Słońce!“



Bo jużem duchem Tobie poślubiona,
ja, mocna, silna, —
ja, rozśłoneczniona radością wielką,
żem wzięła z Ciebie,
jako z łąki —
kwiaty słów Twoich
i wieńce'm wiła ...
... Kwiaty uwiędły ...
Lecz, duchem zakłète,
wciąż roztaczają kadzielniane wonie ...
Twe słowa — kwiaty.

Twe czyny — mocarze —
paziowie korni —
klęczą u nóg moich
i pieśń mi dzwonią o Tobie, —
pieśń - dziwo.
Wołasz Twe pазie, —
one nie słuchają,
jeno u stóp mi przyległy pokornie
i pieśń mi dzwonią,
pieśń - dziwo.

A czasem czuję myśli Twej powicie.
Jak welon mgławcy,
cichem zamyśleniem
na pierś mi pada.
Czuję serca bicie ...
I wiem, że myśli Twej przędzywo
nitką mię wiotką oplata.
Duchem jam Tobie —
Tobie poślubiona.



Astry.

Astry zakwitły —
smutku i jesieni kwiaty.
Rwę je i, cicha,
snuję się w mroku mgieł...
... Coś szuści... Kto idzie!?!...
To liść zeschnięty
snuje się za mną senny.

Zakwitły astry...
Zaduszny zbliża się dzień...
Groby wnet ciche ożyją,
umarli wstaną...
Jakiś Cień
przebiegł mi drogę...
Jęk cichy... To wiatr zapłakał...
Jakieś łzy kroplami świecą...
To rosa na astry padła,
rosa, — nie łzy...

Astry bezwonne —
zastygłe smutku kwiaty.

Śpiewakowi kwiatów — Wł. Rogowskiemu.

Lewkońje.

Lewkońje pachną senne,
jakby brzemienne
pożądań mgłą...
tak drżą... tak drżą...

Północny bije dzwon. —

Ampli przymglony blask. —

Lewkońje drżą więdnące...

Pieszczę je, białe,

w fioletów przedziwnej gamie, —

w jesieni cichą noc.

Tak pachną...

Zasypiam, tuląc w ramionach
lewkońje mrące...

Mara Morozowiczówna.

L. M. Rogowskiemu.

Leśny płacz.

Ciemny las, straszny las... Obudź się!...
Leśny płacz, smutny płacz... Odezwij się!...
Hejże, ty moja doło dziewicza!
Oj, nie chodź, dziewczyno, do boru ciemnego,
Oj, niechodź, dziewczyno,

Bo w borze złe wilki jarzą krwawe ślepia,

Upiór — bezbożyc stęka i jęczy,

I smutek tam siedzi na drzewie.

Oj, nie chodź dziewczyno!

Nie słuchała matuli rodzonej,

Nie słuchała matuli kochanej,

Posłuchała złej doli-tęsknicy,

Posłuchała zwodnicy,

Poszła w las samiuteńka...

Drzewa uśpione w północnej ciszy;

Księżyc złudny, drżący blask niepewny;

Ziemia odziana w mroku habit mniszy.

Nikt tu nie płacze? — Nikt płaczu nie słyszy,

Płaczu zbłąkanej dziewoi-królewny...

I patrzy szary prześwit międzydrzewny

W nieznane gąszcze krzaków sennej niszy.

Ciemny las, straszny las... Obudź się!

Leśny płacz, smutny płacz... Odezwij się!...

Hej!... Hej!... Dolo ty moja dziewicza...

Szepty, szmery i pogwary, i poszumy, i chichoty

Scichły, zmiłkły i zamarły; powiał zimny dech tęs knoty,

A smutek śpiewał dziewczynie :

- W rozelkane, gwiezdne noce
- Wyszły chłodne perły łez.
- Idę w pusty, świetlny kres
- Zbierać leśnych drzew owoce,
- W rozplakane, gwiezdne noce...

* * *

- W rozelkane, gwiezdne noce
- Księżycowy, senny czar
- Wylał gorycz z srebrnych czar.
- Idę w leśnych drzew pomroce,
- W rozelkane, gwiezdne noce.

* * *

- W rozelkane gwiezdne noce
- Ponad kłosów pustych łąn
- Wszczęły elfy lotny tan.
- Płaszczem wiatr łopoce
- W rozelkane, gwiezdne noce.

* * *

— Hej-że, ty dębie, mój ukochanku, toć do Ciebie jam przyszła !

Przykucnęła białem ciałem przy dębie — ukochanku,
Owijała złotym włosem konar czarny, pień mocarny
Zapłakała pieśń dziewicza, pieśń miłości i pragnienia,
Pieśń tęsknoty beznadziejnej...

Jam twoja...

... Luby, luby! Cóż mnie las? — straszny las, wilki i upiory,
i smutek siedzący na drzewie... Luby...

Cichy szepc, upojeń szal, omdleń ból, rozkoszy jęk,

Dziwny dreszcz niepamięci słodki lęk.
Spuszczały się białe opary na zemgłałe wody...
Spuszczały się wilgne mgły na dziewczynine oczy;
W dalekiem niebie gwiazdy zastygły i Wid rozkoszy
rozpostarł blade ramiona...

Ciemny las, straszny las... Obudź się!...

Leśny płacz, smutny płacz... Odezwij się...
Hejże, hej, ty moja doło dziewicza!

Przeczenie.

Przed ogniskiem stał Twój Cień
W wieszczych snów mistycznej dobie,
Przed ogniskiem stał Twój Cień,
Rozkrzyżował ręce obie,
Smutny patrzył w nocy sień.

*

Od żarowych skier i łun
Twarz obrócił w mrok smętarny,
Od ożywczych skier i łun.
Wyszedł snąć z koszmarnych trun;
Odbyć chce swój lot lkarny.

*

Odblask krwawy w włosach drżał,
Glorję wieńczył je pajęczą,
Odblask krwawy w włosach drżał.
W tęsknot harfie struny jęczą,
Ranią groty przeczuć strzał.

*

Stałem tuż... Ogniska straż,
Zapłakany, przerażony,

Niemą trwogą zdjęty straż, —
Bo widziałem bladą twarz,
Twarz żałobnej mojej Żony.

*

„Ku ognisku lice zwróć”!
Krzyk stłumiony zgasł w mem łonie...
Ku ognisku lice zwróć!
Zanim święty ogień płonie,
Nić żywota będziesz snuć.

Wilno, 20 II 1908 r.

POGRZEB DUSZY

DAJNA.

*Ludomirowi Michałowi
Rogowskiemu — artyście.*

Długo tej nocy szczekał pies,
nad ranem jął wyć.
Co się tu stało? — Nic,
skonowała Dusza moja,

odeszła biała męczennica
na Anafielas.

Miała na głowie wianek
z ruty, lilji i tymianka...

Gdy pies po niej przestał wyć,
zacząłem wyć... ja sam.

+ + + + + + + + + +

Rozedrzyjcie, płaczki, suknię zgrzebną,

Poczynajcie nucić pieśń pogrzebną:

Dam dam dali dam

dam dam dali dam

+ + + + + + + + + +

W męce konała Dusza,
legła na hebanowym łożu,
naga, szczupła, blada...

załamała długie ręce
i spieczonemi wargi rzecze:

„Dajcie mi wina... czerwonego, jak krew!
„alkantu... w którym gorycz i słodkość
„to jedno! — złocisty rostruhan
„dajcie mi w ręce... niech spełnię!...“

Przestań - że, Duszo, chorzeć.
Śpij, zaśnij, lulaj do wieczora;
Po wieczorze uśmiechnie się ranek,
zwiędnie we włosach tymianek.

— „Dziwno mi jest! — mówiła:
Pomnisz wieczornych jezior pluski,
zachodu słońca pas szkarłatny,
śpiewanie wodnic-mgieł?...
Zali pamiętasz, Duszo?

+ + + + + + + + +

Kurczy się Dusza w boleściach,
Wije się w agonji,
te oczy czerwone, by kwiat pelargonji,
patrzyły, ślepe, ogromne,
już nieprzytomne, straszne...
i zgasły trzy świeczki gromne...

+ + + + + + + + +

— „TĘSKNIĘ“ — mówiła...

+ + + + + + + + +

Masz czarę, pij,
to alkant, Życia płyn,
gorycz i słodkość miesza się w nim
w szaleństwa pianę, pij!

+ + + + + + + + +

A Dusza patrzy choremi oczyma
w bezdnie bezkresów, nie chce pić...

+ + + + + + + + +

— „TĘSKNIĘ”

+ + + + +

Więc idź, w zaświaty idź
sama. Ja останę tu;
zaśpiewa kur po tobie,
zawyje pies i ja zapłaczę...

+ + + + +

Przyszli grabarze z szarej ulicy,
ciężko stukając butami, —
trumnę przynieśli z ołowiu.

+ + + + +

Po Ciebie, Duszo! żegnaj się z bólem i ze mną!

+ + + + +

— „Życ chcę — szeptała, —

„Wcześniej - ście przyszli

„z długiej i szarej ulicy;

„jeszcze nie wita mnie

„dzień pożegnania...

„żyć chcę!!!

— Zapóźno, Duszo, zapóźno.

+ + + + +

I zabrali mi Duszę mą biedną,

I złożyli do truny z ołowiu...

Juże wieko grobowe zapadło. —

Dam dam dali dam

Dali dali dam

+ + + + +

Rozedrzyjcie, płaczki, suknię zgrzebną,

Poczynajcie nucić pieśń pogrzebną!

niech flecista zawodzi i łka.

+ + + + + Gdzieżeś odeszła, gdzieżeś odleciała?

gołębico moja...

Przecz zostawiłaś mnie samego?

łabędzico moja...

O ręce! pocóż was wyciągam,
pocóż?
O serce, do kogóż cię przytulę,
do kogo?
Nie do ciebie, pusty kącie,
nie do was, sosny siostrzyce.
Do Ciebie, zimny głazie grobowcowy,
Do Ciebie...

+ + + + + + + + +

Dam dam dali dam
Dam dam dali dam.

+ + + + + +

Wilno, 18/IX 1909 r.

Z cyklu: „Przemiany“.

O zmierzchu wieczornym byłem w pokoju sam, raczej było nas dwoje — Ja i mój tygrys. Leżałem na żelaznym łóżku, wpatrzony w jego magnetyzujące ślepie. Dzieli nas kilka kroków od siebie zaledwie... Jeszcze chwila. —

Przepiękne, królewskie zwierzę, ten mój tygrys bengalski. Przykucał w kącie izdebki, gotów do skoku... Wypreżył stalowe łapy i, niecierpliwie klepiąc się ogonem po biodrach, spoziera na mnie uporczywie.

Robi mi się straszno, na nic wysiłek woli, nie potrafię wzroku od niego odebrać. Dwie krwawe latarnie, dwie płomieniste żagwie, dwa absolutne nakazy ócz jego przesłaniają mi świat... I nic nie było w ciężkim koszmarnym zaduchu, jeno te dwie pary oczu, zatopione, wżerające się w siebie w zapasach o życie. Nerwy moje słabną... Nie jestem w stanie już walczyć. Co się ma stać, niech się stanie, byle prędzej—jechał sęk!... Przymknąłem powieki. Skoczył. Już jest na krawędzi mojego łóżka. Młazząc językiem, kłapiąc zębami, liże mi kolana i gryzie, szybko, stopniowo, żarłocznie... Ten wirujący ból w kolanach. Ostrymi zębami rozrywa mi żołądek, szarpie wnętrzności, ukrył krwawą dyszącą ciężko mordę w trzewiach, zatopił się w nich z łapami, cały, wżerając się powoli w piersi, wjadając się w serce. Mój tygrys jest wewnątrz mnie, we mnie. Stanowimy jedność. Pokój czarnem zalał się światłem, zatoczył się w ruchu kolistym, wirowym i stanął.

Dźwignąłem się z łóżka, ścisnąłem oburącz pękającą głowę; trzeba iść — pomyślałem, — już wieczór, zapalono światła, — zatrzasnąłem drzwi.

Iść na bulwary ku tysiącom światła, ku płonącym oknom domostw. W ruch, w płasawisko życia pójdę ze swoim tygrysem, na ulicę. O ulico! zmij dwuramienna, płomiennooka, życiodawczyni i trucicielko, zbrodniarko szalona, prostytutko święta — Ulico. Skończyło się na tem, że poszliśmy z nim (z tygrysem) do knajpy. On wolał wygryźć moje biedne serce, ja wolałem zalać go, zamorzyć, uśpić... byle uśmierzyć piekielny, szatański ból.

Spotkała nas chłozzcząca batem po nagich nerwach muzyka i taniec ten paryski, rozpasany w szeleście jedwabów, ten ostatni taniec na śmierć, na życie...

C'est boir, boir qu'il nous faut

C'est boir oho - o - o - o.

Śnią się nagie, ślizkie szczyty, na które trzeba się wspinać, kalecząc ręce i łamiąc paznogie. To litewska Anafielas, szklana skała szczęścia... Drap się na nią człecze, a wokoło będą trzaskały korki i kastaniety, i kochanka twa zażąda szampana, śmiechu, upojen, obłędu, tańca... Będzie tańczyła sarabandę, coraz to weselej, weselej, upojniej wirując, a tymczasem krew ci z serca zwolna spły- nie, kropla po kropli obroczy. Jak się masz, tygrysku, bengalskie zwierzę... Jesteś zdrów. Sarabandy... Ta czy inna. Wina, wina, konjaku jeszcze, więcej!

Nalałem bestji na pysk wesołych kropel, aż wyzionął ducha. Ulżyło znakomi- cie. Noszę w sobie teraz jego cielsko martwe, nieszkodliwe.

Tu spoczywa tygrys, bengalskie, szlachetne ś. p. zwierzę.

A lampki elektryczne mrugają i skaczą z uciechy. Sala się zatacza, jak pokład pijanego statku. Idę. Tam, gdzie iść muszę.

Wtem ni stąd, ni zowąd ściana psiakrew skoczy na mnie i całym rozmachem walnie mnie po łbie. Za co?

Upadłem. Karuzel się kręci... Tańczy cała szopka...

Ale mój tygrys już nie żyje, nie żyje nareszcie. Zdechł i... chwała Bogu. Tu w piersi spoczywa jego ś. p. trup.

Jestem trochę urznięty, więc leżę sobie i słyszę tuż obok siebie delikatne, smętne kwiczenie. — Toś ty, mój różowy przyjacielu... Jedyne...

Istotnie był to dystygowany yorkshire, o lśniącej skórze. Rozciągnął się obok mnie i różowym pysiem lizał mi twarz w wilgotnym i ciepłym dotknięciu.

Przyjdź, przyjdź... Niechże Cię przytulę. Mocniej. Ty mój, bardzo mój, naj- droższy, złoty. Zawiozą nas z tobą do łóżeczka, położą, okryją... Śpij, aniołku, gołębczku. Zaśnij, niech cię oprzędą świetlane przedze snów... Luli.

Błogość różowa, jasna. Tuliliśmy się do siebie, pieściliśmy się, jak dwaj ko- chankowie, na szlachetnym trupie bengalskiego zwierzęcia.

Ciąg dalszy, ani też morał nie nastąpi.

Jerzy Jankowski.

*Ludomirowi Rogowskiemu na
pamiętkę.*

Bunt pieluch.

(Bajka.)

Na płocie rozpostarte, schły rzędem pieluchy,
Marząc o czemś, spokojnie zwieszone ku ziemi.
Słońce je ozłacało blaski promiennemi,
A wietrzyk wkoło tańczył słabymi podmuchy...

Wtem pociemniało niebo. Zadał wiatr ponury
I powlókł słońce chmurą. Z drogi porwał liście,
Zgrzytnął płotem i zaklął drzewami siarczyście,
Aż czarny tuman kurzu podniósł się do góry...

Wszystkie pieluchy zerwały się z płotu,
A solidarne z ruchami przyrody,
Dalejże rwać się, rwać się do swobody,
Do szalonego, do śmiałego lotu.

Idealistka na drzewo frunęła,
Pozytywistka wdał drogą pomknęła,
Konserwatystka na wieży osiadła,
A niezależna komina dopadła...
Tylko lojalna została na płocie,
Bowiem gwóźdź ostry utwierdził ją w cnocie.

Deszcz lunął.

Z chaty wybiegł chłop i gospodyni;
Pościgali pieluchy, do izby zabrali...
A wkrótce — chociaż burza ciągle grzmiała wdali —
Znów suszyły się zgodnie przy piecu na skrzyni.

Gęś i orzeł.

(Bajka.)

Pod obłokami szybując i patrząc prosto w twarz słońcu,
Zatęsknił raz Orzeł do ziemi;
Zaszumiał więc olbrzymiemi
Skrzydły i siadł na wielkiej topoli, co w końcu

Podwórza samotnie sterczała.

Spojrzał dokoła ciekawie...

A tuż prawie

Pod płotem, od topoli niedaleko,

Siedzi Gęś biała,

Bielutka, jak mleko.

Więc Orzeł wzrok wyteżył uważnie i patrzy.

— „Doprawdy — rzeczy — jakiś okaz rzadszy

Spadł na to miejsce, pełne brudu, błota!...

Cóż to za śliczna główka! Co za szyja wiotka!

Nie! Stale żyć nie może tak cudna istotka

Wśród kur, kaczek, indyków... Zbyt nędzna hołota“...

To rzekłszy, Orlisko

Z wielkiej topoli przesiadł się nizko

Na płot podwórka.

— „Witaj, uroczą! Jak biała chmurka

Zawiśnie czasem na groźnem niebie,

Takeś zjawiała się ty na ziemi,

Lecz to nie miejsce dla ciebie.“

Poruszona słowy temi,

Choć nie wszystko zrozumiała,

Gęś rzewnie, cicho gęgnęła:

„O latać, latać, bym chciała“...

— „A co! — zawołał. — Przeczucie nie zwiodło.
Między ziemską zgrają podłą
Znalazłem duszę, co rwie się wyżej!
Niech się jeno do mnie zbliży,
A zawiodę ponad chmury,
Ponad kraśnych zórz purpury...
Hen!... ku słońcom wyłóconym...
Hen!... ku gwiazdom wysrebrzonym!...“

— „Dobrze, dobrze!... — Gęś przerywa, —
Prowadź!... Jakam ja szczęśliwa!...
Polecimy ponad chmury,
Ponad kraśnych zórz purpury...
Latać, latać!...“

I w zapale
Skrzydła białe rozpostarła,
Nawet ogon już zadarła;
Lecz się w przestworza nie uniosła wcale,
Tylko w szalonej ochocie,
Tocząc się, biedz poczęła po chlapiącym błocie.

— „To nic — rzekł Orzeł. — Latać mała sztuka:
Byle nieuka
Nauczyć można takiej mądrości.
Od ciągłego siedzenia ściężyły ci kości,
Ale to przejdzie. Tymczasem, ja oto
Dla towarzystwa też pójdę piechotą.“
— „Dokąd? — Gęś pyta.“

— „Ku skale pójdziemy,
Na której szczycie leży gniazdo moje.
W górę cię wniosę, a z góry we dwoje
Spróbujęm latać“...

Lecz Gęś w trwodze niemej
Dziób otworzyła; spogląda na drogę
I gęga wreszcie:

— „Ja też?... Ja nie mogę“..

- „Nie bój się! Ktoby bronił, nie ujdzie stąd zdrowo —
Orlem zapewniam się słowem.“
Ale Gęś ciągle milczy, kręci tylko głową,
Jakby nagle wspomnieniem zaskoczona nowem...
— „Nie pojmuję cię, luba; wszak byłaś tak skora?“ ...
— „Ale bo ja tu czekam... czekam na... Gęsiora“...

Dowódca.

(Bajka.)

Porwany prądem strumyka,
Korek, co butle zatyka,
Niby wódz, dosiadłszy fali,
Wierzchem wali
Coraz dalej

Z miną pułkownika.

Mknie, mknie, płynie rażno, zwawo...
Własną się upaja sławą,
Co wyniosła go tak snadnie;
I fizyki wielbi prawo —
Że nie grzęźnie głazem na dnie,
Lecz treścią swego tworzywa —
Chociaż upadnie —
Jak genjusz, nad tłum wypływa...
Vivant korek i oliwa!

— Za mną, wody! Jaknajprościej!
Droga ma — szlak konieczności...
Kędy pomknę, strumień ze mną,
Chociaż przyszłość zda się ciemną,
Lecz opierać się daremno,
Więc precz wątpliwości!
Dokąd wiodę, tam powiodę:
Wierzmy w zapal, siły młode...
I... w wodę...

Jak gdyby śladem komendy,
Rwie struga tędy, owędy...

.
Wtem, cóżto?... Wódz bez pamięci,
Jak fryga, w miejscu się kręci?...

 To wir, nie bacząc na względy,
 Należne jego potencji,
 Porwał nasz korek...

 I wkrótce —
Na brzeg wyrzucił dowódcę.

O Maciusiu wisielcu.

Opowiadanie dla grzecznych dzieci.

Był sobie jeden Maciuś, co biegał po wsi, owinięty w stary kaftan swojej mamusi. Kostjum ten, niezbyt szykowny, miał, z punktu widzenia Maciusia, dwie wady: Przedewszystkiem nie zapinało go się, lecz okręcało, więc trudno było utrafić, by guziki nie wypadały z tyłu; tymczasem — któż z nas nie ma przesądów? — Maciuś wmówił sobie, że istotna elegancja wymaga koniecznie guzików, a przynajmniej jednego guzika, rychtyk na pępku. Drugie utrapienie miał nasz bohater z rękawami, w których dłonie jego rozpaczliwie ginęły; a że Maciuś namiętnie lubił dłubać sobie w nosie, więc często marzył o sukni trochę bardziej wydekoltowanej.

Niemalę również kłopot sprawiała mu tatusiowa czapa, która miała nieprzyjemny zwyczaj opadania na nos swemu właścicielowi. Ona to sprawiała, że Maciuś, choć bez mała pięć років już liczył, nie mógł dotąd poświęcić się obserwowaniu świata i podziwianiu tych cudownych zrządzeń sił wyższych, które opiekują się najdrobniejszym nawet zieleń, póki go krowa nie zje, i umilają życie krowy, póki jej człowiek nie zarżnie.

To też Maciuś, choć się ołtarzykowi przydrożnemu kłaniał uprzejmie (a nuż coś zza drzewa skoczy i przez łeb grzmotnie), choć się sądu ostatecznego bojał prawie tak, jak dworskiego ogrodnika, przecież wdzięczności ni-jakiej nie czuł, ino sobie czapę odgarniał.

A w czapie tej całymi dniami paradował, jako że nierad zaglądał do rodzicielskiej stancji.

Bo kiedy już nawet gęsi wszystkie ze rżyska spędzi, a do komórki sąsiada zagna, to i tak zawsze lepiej mamusi w oczy nie leżć. A nuż z tatusiem rozmowę jaką miała?... Wnet, ujrzawszy Maciusia, wspomni jakieś stare obra-chunki i zawoła: — Jezdeś, odmieńcu jeden!... Chodź mi tu zara!

W takich razach bohater nasz, podkasawszy kaftan, miał zwyczaj dyrdać w pole. Przez szacunek dla matki nic nie mówił i dopiero, gdy był w dostatecznej odległości od domowego ogniska, tęskne zwracał ku niemu spojrzenie i wywieszał język.

Promienie zachodzącego słońca całowały jego buzię z taką samą czułością, z jaką żegnały każdą najniklejszą trawkę, każdy liść ostu, każdą łodygę pokrzywy, każdą kupkę gnoju; ale Maciuś z obojętnością prawdziwego króla natury przyjmował te czułości. Przykucał se gdziebądź nad kałużą i babrząc palcem w błocie, dumał:

— Pewnikiem tatuś mamusie znowuj dzisiok sprali...

Maciusiowy tatuś był duży i mocny, ale do domu często wracał na flanelowych nogach. A ponieważ wogóle miał umysł refleksyjny, więc poważnie zastanawiał się nad każdym uniesieniem nogi i ani kroku nie robił bez głębokiego namysłu.

Wchodził do izby, opierał się o komin i czas jakiś opowiadał mu o wynikach swych dociekań.

— Rajski ptak za Adama w raju pracował; ale teraz niema takich ptaków i nie będzie, bo żydy na szabas zjadły, cebulą nadziawszy — ot co. A pod krzyżem kiele drogi jest skarb zakopany, a nie można go odkopać, boby się święta figura obaliła i Bóg-by się ujął za krzywdą swego synaczka...

Tu odwracał się tatuś od komina i melancholijnym wzrokiem szukał jakiejś żywej istoty. Zauważywszy Macusia, chwilę przyglądał mu się tak, jak gdyby za przezroczystym chłopcem widać było jakieś odległe pustkowia; w końcu sztywnymi palcami zaczynał majdrować wedle rzemiennego paska, co mu ineksprymable do brzucha przytwierdzał.

Wtedy Maciuś znów poły kaftana podbierał i znów dyrdał w pole, ale języka już nie wywieszał, bo tatusia bojał się jeszcze bardziej, niż sądu ostatecznego i ogrodnika ze dworu. A nad polem unosił się skowronek i wydzwaniał hymn na cześć tego, co stworzył kota i dał mu pazury. Ptaszek śpiewał, śpiewał, ale Maciuś nie jego słuchał, ino przeraźliwych wrzasków okładanej drągiem mamusi, które aż tu dolatywały z rodzinnego gniazdeczka. Wtórowały im gromkie przekleństwa tatusia, a skowronek nic, ino dalej śpiewał o miłości, co to uprzyjemnia byt mieszkańcom ziemi.

Tak rósł sobie Maciuś długie lata w szczerem polu, niby chojak. A razem z ptaszkami, co to nie sieją i nie orzą, karmił go Stwórca grochem przydrożnym sąsiada, jego marchwią, pietruszką, kartoflem.

Aż razu jednego ucapił naszego bohatera Kuba Gąsior, co miał serce twarde, niby krzemień, właśnie w chwili, gdy Maciuś żegnał się z jego gruszą.

Odstawiono niegrzeczne dziecko do sądu — i wsadzono do kozy. Wtedy chłopczyk został pierwszy raz przezwany złodziejem za to, że się dał złapać.

Ale Maciusiowi spodobało się w kozie: syty był, niezmarznięty, a co główne, to, że ani tatusia, ani mamusi przez całe dwa miesiące na oczy nie widział. I choć akurat w tym czasie rozmaite mądre panowie opowiadali, że tylko ciepło rodzinne może dać warunki rozwoju delikatnej duszy dziecka, nasz Maciuś wcale do domu się nie rwał. Kiedy zaś wypuszczono go na wolność, prędko się postarał wrócić do miłego kąta więziennego. Skazano go za to, że

jakiemuś klubowi demokratów ukradł sztandar wolności. Odtąd coraz częściej, coraz częściej Maciuś stawał w sądach.

Przywiązał się do kilku sędziów, a jednego prokuratora nawet serdecznie polubił za to, że ten zaproponował trybunałowi, by Maciusia już na całe życie do kozy wpakować. Aż się w końcu sędziom nasz Maciuś uprzykrzył, więc go kazali powiesić.

Tak skończył Maciuś, kochane dziecieczki. Po śmierci nazwano go wisielcem, ale czy się tem zmartwił, nie wiadomo. Jak pójdziecie do Bozi, to go zapytacie same.

Sprawiedliwie.

Było mu na imię Lech, a na przezwisko Fujara. Miał wedle drogi chałupę, jak się patrzy, ale w niej, kto chciał — gospodarował. Pietrek dziobaty bałamucił kobietę, Jankiel gadziną zarządzał, Bartek Cichy worywał się w grunta...

A wszystko bez to, że Lech był z takiego już rodu niedojdów: dziad — Fujara, ociec — Fujara. „Niedaleko pada jabłko od jabłoni” — szeptali sąsiedzi i z utrapień biedaka jeszcze się naśmiewali. Ocieli mu się, na ten przykład, krowa, wnet se karczmarz jakoweś zabaczone długi przypomina: a to za gorzałkę, a to za piwo, a to za tabakę...

— Co? kiedy? — krzyczy chłop.

— Ojej, gospodarzu, jaką wy macie głowę! Stoi zapisane.

— Adymem syćko na św. Michała zapłacił. Cego się, zydzie, cepios!

— Zapłacił?... A to, co gospodarze po jarmarku pili, zapłacone?... Ny, kto fundował.

Dopiero chłopcy w śmiech.

— Widzita go Fajarę! Tera się wypiro...

Co było robić?...

I tak zawsze.

Wyjdzie z pługiem w pole — patrzy, a tu Bartek miedzę już zaorał i jak po swoim ciągnie.

— E, somsiad! Gdzieśta to wjechali?

— Bo co?

— Dyc grusa na miedzy stojała, a tero dzie...

— Stojała, dzie stoi.

— Nieprawdo!

— Widzita go! Powiedo, że grusa bez miedzę przelazła.

I znów chłopcy w śmiech.

— Oj, ze Fujara, to Fujara.

Lech milkł, bo jakże miał jeden z całą gromadą wojować. Jeszcze go za glupiego ogłaszają i będzie. I tak dzieciaki przezwiskami za nim gonią; a taki rak najgorszy: krzyknie i w nogi.

Już się życie Lechowi przykrzyło. Taka go czasem brała markotność i złość, że ino bić. Babę sprzałby nieraz, ale ta znów pysk miała, że niech ręka boska broni. W dodatku brat Magdy, któren z Pietrkiem trzymał, jako że oba za śwarcem chodzili na Niemce, nieraz się odgrażał.

— Ino ją rus.

Więc tłumił w sobie gniew, przezwiska puszczał mimo uszu, a każdemu, co chciał z nim pić, fundował. Myślał, że onem fundowaniem jakieś serce pozyska. Ale nie. Chłopy zaczęli uważać, że im się poczęstunek od Fujary należy: przysiadali się sami. Aż pewnej niedzieli, kiedy po nabożeństwie naród w karczmie gwarzył, zwrócił się Lech do kilku najpoważniejszych gospodarzy z taką mową:

— Słuchajta, kmotry! Ja już dawno chciał z wami pogadać wedle sprawiedliwości.

— O, macie go! Fujara! — odezwał się ktoś ztyłu. Lech obejrzał się i spostrzegł Franka. Porwała go wściekłość.

— Milc, kondlu! — ryknął niespodzianie.

Zrobiło się cicho. Fujara ciągnął dalej:

— Kuzden widzi, że mnie ludzie krzywdzą. Moja grusa dziś hen, w bartkowem polu, mój przychówek — w jankielowej oborze, moja baba... (tu machnął ręką) co tam gadoć... wiadomo. A upomnę się, to cała gromada jeszcze na mnie. Tero powiedzta, somsiady, gdzie tu je krześcijańska sprawiedliwość.

Zamilkł i wodził okiem po zebranych. Ale nikt nie spostrzegł, że dziś patrzy nie tak, jak zwykle: zagłada w oczy prosto, jak dziedzic jaki.

— Powiedzta — rzekł raz jeszcze.

Stary Matus Grzdyka, co to wszystkich godzić zawsze lubił, otarł głowę czerwoną chustką i przemówił pierwszy.

— Nieraz się człekowi uwidzi, że mu kuźden na złość czyni. Idzie borem — sosny go obgadują, w polu — konik mu wydziwio, w chałupie — wicher bez komin urągo i tak zawdy. Jo nie mówię, żebyśta, Fujara, całkiem już racyi nie mieli, ale tam z igły widłów nie róbtą. Napijwa się na zgodę i niech będzie koniec.

Wypili, lecz osowiali wszyscy.

— Co to gadać — rzekł wreszcie Wojtek Pacior, bartkową siostrę za żonę mający. — Na cyjem groncie drzewo rośnie, temu owoce rodzi. Kazden własnem okiem widzi, że grusa nie na wasem polu.

— Kiej mi gwałtem wzion.

— Musi sprawiedliwie.

— A jak mi Jankiel podwójną kredą pise, a jak mi Pietrek żonę bałamuci, to też sprawiedliwie? Co! gadajta!

Tu zabrał głos organista:

— *Vox populi — vox Dei* — rzekła duchowna osoba, błyskając żółtym kłębem sierotą. Sprawiedliwość na wierzch, jak oliwa zawsze wypłynąć musi...

Mówił długo, pięknie, mądrze, ale tak ci jakoś kręcił, że ani sposób wyrozumieć. Chwilami zdawało się, że wnet zakończy przyznaniem racji Fajarze, lecz raptem kilka słów nowych pakował i gadał, gadał, gadał...

— Jak coś kto komu zabierze, pokrzywdzonego trza bronić; tak wiara nasza i święta przykazuje. Ino to powinno być wiadomo, czy zabrano prawdziwie. Bo jakbyś niesprawiedliwie osądził, to se wrota niebieskie po wiek wieków zamkniesz. Bez to też uczył Jezus Chrystus: nie sądz, abyś nie był sądzony, ile że łącznie w sądzie omylić się można...

W karczmie nagle powstał rumor. Organista przerwał mowę i podniósł oczy. Lech Fajara, z rozwichrzonym włosiem, z wywalonemi gałami biegł po izbie, jak rozchukany ogier.

Przedewszystkiem zdzielił Pietrka kuflem między oczy, a poprawił pięścią w brzuch tak zacie, że amant runął pod stół, jak nieżywy. Dopadł następnie Jankiela, chwycił za brodę, grzmotnął o ziemię i kopnął w zęby. W końcu, złapawszy stołek, pogonił za Bartkiem, który, na widok niespodzianie rozjuszonego sąsiada — Fajary, stracił nagle rezon i zmiatał przez pole, jak zając. Lech wypadł za nim.

— Ktoby to powiedział, że jucha tak mocno! — szeptano w karczmie.

— No, no... Musi ma recht.

Fajara wrócił nieco uspokojony; stanął naprzeciw sąsiadów i sapał.

— Jo zawdyk mówił — odezwał się po chwili Grzdyka, — że was niesprawiedliwie krzywdzą.

— I ja także — dodał organista.

Lech odetchnął głęboko raz, drugi, uśmiechnął się i rzekł:

— Wieta, gdzie ludzka sprawiedliwość? Tero wim. — O, tu! —

I pokazał swą olbrzymią, zaciśniętą pięść. — Trzeba ino wiedzieć, kiedy i jak *sprawiedliwie* nią łupnąć.

Benedykt Hertz.

Z życia.

Zemdląła z głodu. Ot tak, poprostu, wzięła i zemdląła — taka już była niewytrzymała. Trzy dni nic nie miała w ustach. Trzy długie jak wieczność dni. Ale co to znaczy trzy dni? — Głupstwo. Trzy dni i żeby tak zaraz od tego?...

Na scenie była zaledwie parę miesięcy. Grać jeszcze dobrze nie umiała. Brakowało jej rutyny — więc naprawdę z głodu zemdląła.

Pan Bóg niepotrzebnie stworzył jadło i przez nie wodzi człowieka na pokuszenie. Tak też i z tą małą. Pół miesiąca nie dostała gaży. Wszystko sprzedała, nawet zaręczynowy pierścionek — pierwszy w życiu — i ten poszedł na handel. Nic więc dziwnego, że przyszła po pieniądze; należało jej się całe dziesięć rubli. Co za majątek!

— Żeby choć rubla, choć rubla. choć jednego rubla dziś dostać, — myślała. — Tyle dni na próżno chodzę, och! może dziś.

— Panie dyrektorze, proszę o gażę — szepnęła ledwie dosłyszalnym głosem, nie mając sił do wydobywania mocnych przekonywających dźwięków.

Chwilkę pomyślał! — E, nie upomina się energicznie, to jej pewno nie potrzeba. Młoda, niebrzydka, niech się uczy żyć o własnych siłach — da sobie radę.

— Panie, proszę choć o à conto, ja dziś nie ja...

Nie dokończyła. Głos nie mógł się wydobyć z gardła, bólem ściśniętego. Zatoczyła się zlekka.

— Urżnięta, — pomyślał.

Łzy, jak dwie perły, stoczyły się cicho po przybladłych policzkach.

Zmiękł w swojej zatwardziałości i kazał czekać, aż kasę odbierze..

Powlokła się w najdalszy kąt ogrodu, uciekając przed swędem smażonego mięsa, który już od dłuższego czasu łechtał jej podniebienie, przyprawiając o mdłości. Restauracja była przy teatrze.

Skulona, ze złowrogiem przecuciem, że i dziś na próżno, siadła na ławce i czekała. Czekala długo, bardzo długo, to jest do końca przedstawienia. Światła pogasły. Ośmielona pustką i ciszą, ruszyła ku przybytkowi tak zwanej „sztuki“, który wyglądał jak w małym, żydowskim miasteczku jarmark.

Dekoracje porozrzucone na wszystkie strony świata, to jest — sceny. Kostjumy w nieładzie. Rekwizytor zbierał resztki scenicznej kolacji, inspicjent chodził wielkimi krokami, przeklinając tę, która ośmieliła się naruszyć wypożyczonego indyka.

— Psiakrew, psiakrew! Półtora rubla ta czarownica zjadła, a ja będę musiał ze swojej kieszeni zapłacić. Szlag mię trafi, — biadał raz po raz, chwytając zniszczony, pożółkły scenarjusz i z pasją tłukąc nim o stół, który się kiwał w takt jego pięści.

Przeszła, zazdroszcząc koleżance, która grała rolę z indykiem. Weszła do kancelarji. „Pan” zdawał się mieć łaskawy uśmiech na ustach. Kilkoro kolegów i koleżanek wracało z humorem. Potrącili ją we drzwiach.—Jest flota! — huknęli nad uchem, i śmiech srebrzysty, szczery, jaki na scenie rzadko bywa, zadźwięczał i pomknął w ślad za nimi.

„Pan” układał repertuar i zdawał się niedostrzegać jej. Skromnie stała na uboczu nie śmiejąc się przybliżyć.

Kiedy nareszcie skończył, spojrzał na nią i rzucił: — Spóźniła się pani, flota rozebrana.

Piorun, padający w tej chwili, byłby zrobił mniejsze wrażenie. Oparła się o ścianę, nie chcąc stracić równowagi. Oczy rozwarły się szeroko i zaszklily. Zapadła cisza, martwa cisza. Nie powiedziała ani słowa, ale, snąc, cała postać wyrażała taki ból, że nawet dyrektorskie skamieniałe serce drgnęło.

— Proszę poczekać, może pożyczę, nie mam już nic — z temi słowy znikł.

Wyszła do ogrodu, osunęła się na ławkę. W tejże chwili otworzono okno od kuchni i woń odurzająca, restauracyjna woń, jakiej jeszcze nigdy nie czuła, owiała ją niby tumanem mgieł i powaliła o ziemię.

Jak długo mgły się rozwiewały — nie pamięta. Otworzyła oczy i spostrzegła syfon wody sodowej.

— Co się stało, do czego ta woda? Przecież mnie się jeść chce, a nie pić!

— Aha! prawda.

Głód straszny, dławiący, bezprzytomny głód, uspakajali — wodą sodową...

Poczula przejmujące zimno, podniosła się z trudem i ruszyła ku pustką i nędzą ziejącemu domowi.

A przecież była młoda i nie brzydka...

Stefanja Górską.



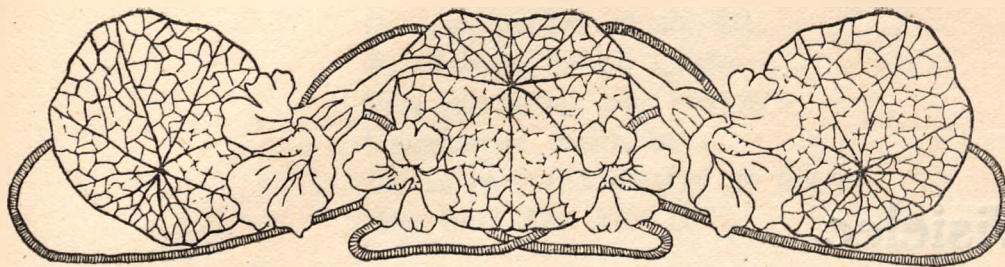
W pogoni.

Ludzie Rogowskiej.

Aw każdym ludzkim sercu tkwi ogromna,
Bezbrzeżna, wieczna za szczęściem tęsknota,
I po przez życie snuje się, jak złota
Lecz zblakła nić...

A dusza ludzka, zawodów niepomna,
Nędzę swą wlecze za nią, jak helota,
Wierząc że kędyś znajdzie rajske wrota...
I pragnie żyć!

Luty, 1908 r.



Pocałunek Meduzy.

Całuj!... Ja wiem, że duszę wyssiesz ze mnie.
Że z warg twych jadu lica moje zbladną,
Że mnie trucizna ust twych wciągnie na dno
Piekiel czeluści, w głuche śmierci ciemnie.

Wiem! W swe wężowe, mocne weź mnie kleszcze,
Tul mnie okrutnie, rozkosznie, boleśnie,
Niech na twych ustach chwilę śmierci prześnię.
Zabij, całując! Jeszcze... jeszcze... jeszcze...

Kwiecień, 1907 r.

Wisielec.

Hej, hej! Ha, ha! Hi!...
Powiesili nieboraka.
Już nad trupem wrona kraka,
A komuś się śni,
Że obronią go od haka
Te zdrowaśki, łzy, pacierze...
Czyjeś usta szepczą: „Wierzę
W twoje miłosierdzie, Panie!“
Ej! umarły już nie wstanie,
Już nad trupem wrona kraka,
A wiatr świszczce, a chichocze,
A deszcz mokre swe warkocze
W twarz mu ciska posiniałą...
Już się stało... już się stało...
Powiesili nieboraka,
Już nad trupem wrona kraka,
Deszcz tnie w oczy wylupione,
Wylupione, zapatrzone
Hen, w sny jakieś niewyśnione,
W jakiejs jutrzni jasne wschody,
Górne, chmurne loty ptaka,
Sny szalone, sny swobody...

Hej, hej! Ha, ha! Hi!
Powiesili nieboraka,
Już nad trupem wrona kraka...

Próżno, próżno ci się śni,
Że obronią go od haka
Twe modlitwy, twe pacierze
I matczyne twoje łzy...
Już w ramiona śmierć go bierze...
Hej, hej! Ha, ha! Hi!

Do dna, matko, kielich wypij!
...Szubienica jęczy, skrzypi
I aż chwieje się na wietrze...
...Jego wargi coraz bledsze,
Jego wargi, jak te sny,
Co wylały morze krwi...
Wicher mąci nocną ciszę.
Jak się śmiesznie trup kołysze,
Jak się z góry kłania ziemi, —
„Vale!” dłońmi zsztywniałemi
Życiu śle!

Ej, źle ci tam, źle!
Ej, zachciało się swobody!
Źle ci teraz, orle młody,
Ni na ziemi, ani w niebie...
Mroźny wicher buja ciebie,
Nocne tulą mgły...
Zawył pies na twym pogrzebie
Hej, hej! Ha, ha! Hi!...

Z wrażeń.

Ferdynandowi Ruszczycowi.

O miasto! Wśród zaułków twoich błędząc cieśni,
Starych domów powagi, świątyń majestatu,
Cześć oddaję twych murów zakłętemu światu
W cichej, płynącej kędyś z duszy głębin pieśni.

Śpisz... Noc jasne nad tobą rozpostarła ręce,
Noc błękitna, miesięczna... Kiedyś, w wiosny porę,
Noce takie widziałam na Lago Maggiore,
Nad zadumaną Romą, w słonecznej Firenze.

Po uśpionych ulicach błąkam się i marzę,
I śnią mi się twe stare, pogańskie ołtarze,
Wstają królowie - widma i kapłany - mary,
Wnuk Sforzów w oczy cudnej patrzy się Barbary.
Zmierzchłe twe dzieje z smętnym przeżywam uśmiechem,
Ty śpisz...

Samotne kroki szklannem dźwięczą echem. —

Marzec, 1909 — Wilno.



W parku.

Szary, jesienny, cichy dzień... Listopad.
Ziemia przesiąkła traw umarłych wonią,
Nad stawu martwą, nieruchomą tonią
Drzewią omszałe pnie, z których liść opadł...

Wzrok łzą zamglony w dal bezkresną biegnie
I pyta: kędy przyjdzie ból ostatni,
Co z dumą w uścisk złączywszy się bratni,
Już bezpowrotnie ku ziemi ją zegnie?

Jak smutno... Już się w śmiertelne ramiona
Do snu utula świat... Jak martwo wszędzie...
Jak cicho każdy liść, zdźbło każde kona...

Nad stawem z zimna drżą białe łabędzie,
A w toń skostniałą wpatrzył się żałośnie
Kamienny Amor i śni... śni o wiosnie...

Listopad, 1907 r.



Fragment z poematu „Grzech“.

... **A** gdy wieczorne gasną zorze,
W kochanka mego biegnę łożę,
Mgła moje chyże stopy rosi,
A cichy wiaterek je ponosi
Przez osypane kwieciami łąki,
Przez miedze, pola, czarny las...
W lesie liljowe trącam dzwonki,
W paprociach brodzę aż po pas
Z gałązek strącam łez kropelki
I przez bór lecę czarny, wielki,
Aż na sam skraj, bez tchu, bez tchu,
Po aksamitnym, miękkim mchu!
Jak wicher mnie tęsknota gna,
Jak wicher mnie tęsknota niesie
Po dużym, starym, ciemnym lesie;
Ze śmiechem biegnę i śpiewaniem.
Za mojem szczęściem, za kochaniem!...
A ot już staw, a za nim jar,
Gdzie w krzaczach uśpionych wiaterek gra,
Kędy w jaśminach słowik kwili
I w piersiach lubej nieci żar...
Za jarem biała chatka stoi, —
Ot już i koniec drogi mojej,

Ot, i dosięgłam szczęsnej chwili,
 W płomieniach stoję przede wroty!
 A wrota już na moje przyjście
 W zielone umajone liście;
 Od proga, nito na wesele,
 Wonna się droga z kwiecica ściele...
 — A otwórz-że, kochanku mój!
 Niosęć uśmiechy i pieszczoty,
 Niosę ci ust mych słodkie kruże,
 I młodych piersi biel i róże,
 Żłocistych włosów drogi strój,
 Aksamit biódr, całowań moc
 Na całą noc, na długą noc.
 A otwórz-że, kochanku mój!

 O, nocy, ty nocy strojna
 w szatę z gwiazd!
 Nad ciszą miast,
 ponad pół śnieniem
 zwisasz upojna
 cieniem,
 co szaleń oddycha!
 O, długa i cicha
 nocy!...
 O, mocy
 Pragnień wcielona,
 co w sercu drgasz tętniącym!
 W uścisku splecione ramiona
 gorącym!
 O, ust rozchylonych kielichy,
 co w dźwiękach bezładnych słów
 o baśni szepczą cichej,
 pełnej cudów i snów!...
 O, ciał pragnących omdlałość!
 O, dziwna, brzemienna w łzy żałość!
 O, szczęścia i lęku godziny,
 gdzie niemasz już grzechu, ni winy,

bo grzech w swej mocy i krasie
anielstwem zda się!...

.

— A kiedy ranna wstaje zorza,
Z kochanka mego wracam łoża,
Do chaty mej, dalekiej chaty,
Kędy mąż w cieniu śpi komnaty.
Ej, mocny Boże! serce boli...
Powoli wracam w dom, powoli,
W on dwór bogaty, w pustkę ścian,
Kędy mąż stary, a mój Pan...
Nie tak ci biegłam w tamte strony,
Kędy się jawą stały sny,
Kędy kochanek mój stęskniony
U progu czekał drzwi...
O, ty, kradzione szczęście moje,
Jak krótko trwasz!
Łzy rosą twarz,
Całym tęsknoty dniem cię poję,
Biedne, kradzione szczęście moje!...

Nocko ty cudna, nocko krótka,
Czemu się jasnych lękasz zórz?
Wróć! znów przez okna wejdź cichutka
I szepnij znowu do mnie: „Już!
Już czas, już czas,
Przez ciemny las
Biegnij i baw, nim błysnie ranek,
Gdzie czeka miły twój kochanek!”
O, nocko krótka!...

Długi dniu,
A ukołysz - że się do snu!
A ukolebaj - że się rychło,
Jasne słoneczko zatop w morzu,
Niech głowę na toń złoży ścichłą
I w swem głębokiem legnie łożu...

O nocko krótka —
długi dniu!...

Styczeń, 1909 r. — Wilno.

Pożegnanie.

Wolno schodzi Eda po schodach, wysłanych sznurowym chodnikiem. W tej chwili nie myśli nic. Jest w niej jakaś ogromna pustka. Doznaje wrażenia, jakgdyby w jej mózgu zrobiło się nagle dużo, dużo miejsca, i sili się daremnie, aby tę pustą przestrzeń wypełnić czemkolwiek.

Byle czem, byle czem! Aby tylko nie było tak pusto, tak przeraźliwie pusto!... Nie...

Nie może się zdobyć na najprostsze skojarzenie najzwyklejszych pojęć.

Dopiero na samym dole, w tym miejscu, gdzie się i w dzień pali lampa gazowa, szepcze, spojrzawszy na okienko izdebki stróża:

— Aa... przeniósł się teraz... zimą mieszkał w podwórzu...

Hałas ulicy odurza ją. Kwiecień. Słonecznie, ale zimno. Eda ma na sobie lekki saczek na jedwabiu.

Wstrząsa się.

I naraz myśli:

— A prawda, jeść mi się chce.

Ale w pobliżu niema żadnej cukierni. Mija parę ulic; spojrzawszy na biały szyld modnej mleczarni, wchodzi i siada przy stoliku pod oknem.

— Czem można służyć?

— Co?...

Garson powtarza pytanie.

— A tak... kawy i ciastek.

I znów patrzy przez szerokie okno na tętniącą życiem ulicę miasta. Turkot, wrzawa, charakterystyczny odgłos kół gumowych, pędzących po drewnianym bruku; donośne dźwięki dzwonków tramwajowych, krzykliwe głosy chłopców, sprzedających gazety, — wszystko zlewa się w jakiś piekielny chaos.

Jak ci ludzie śpieszą, lecą, pędzą...

Teraz sunie jakiś skromny kondukt pogrzebowy.

Czarna, matowa trumna z lakierowanym liściem palmowym; dwa biedne konie, których kościste boki uwydatniają się pod zrudziałymi kapami o okrą-

głych wykrojach na oczy; jakiś jaskrawy z białymi wstążkami wieniec... Na koźle zgarbiony, półdrzemiący woźnica w pelerynce, w śmiesznym kapeluszu stosowanym... Za trumną kobieta w żałobie, dwoje dzieci, uczeń, kilku mężczyzn, parę kobiet o wyglądzie służących, trzy dorożki...

— Dokąd oni go wiozą? — myśli Eda, — na Piaskową, czy na Bródno?... Pewnie na Bródno.

W tej chwili przeszedł tuż koło okien Bohusz, w zimowym jeszcze palcie z karakułowym kołnierzem.

— Jego kolega...

I nagle jakąś potworną, bezlitośną, druzgocącą falą uderza w nią ból. I na chwilę uprzytomnia sobie, że przed półgodziną opuściła pracownię Szeliskiego. Z jakąś wewnętrzną zaciętością, z wściekłością broniącego się zwierzęcia odpycha od siebie myśl, która w okamgnieniu kojarzy się z majaczącym w głębinach duszy obrazem ukochanego.

Zaczyna pilnie przyglądać się ciastkom, ułożonym w symetryczną gwiazdę, na platerowanym talerzu.

— Te z kremem niedobre, wolę babki.

Zjadła trzy ciastka, wypila filiżankę kawy do kropelki, i zdawało jej się, że jeszcze jest głodna. Ale nie miała sił przywołać garsona.

Znieruchomiała nagle fizycznie; za nic nie ruszyłaby się z miejsca. Siedziała bezwładnie; oczy tylko błękały się po szalejącej ruchem ulicy.

— Antoni Boehme... Antoni Boehme... skład naczyń kuchennych — powtarzać zaczęła bezmyślnie nieruchomymi ustami, patrząc na szyld sklepowy, po przeciwległej stronie ulicy świecący złotem, wypukłymi zgłoskami, — Antoni Boehme, skład naczyń kuchennych...

Nie pamięta, jak długo siedziała w mleczarni.

Ludzie wchodzili i wychodzili...

Garson zbliżył się, aby zebrać nakrycie. Ocknęła się, zapłaciła i wyszła.

Owionął ją chłód kwietniowego popołudnia.

Przy wejściu mały chłopak sprzedawał wiązanki konwalji i fiołków.

— Piętnaście kopiejek pęczek! Niech panusieczka kupi — krzyczał, — piętnaście kopiejek!

— Poślę mu — myśli Eda, a po chwili:

— Nie, zaraz zwiędną. Wezmę hjacynt u ogrodnika. Przypomni mnie sobie dziś choć parę razy. Tak, tak... hjacynt i kartę... Zaraz poślę...

Po chwili kreśliła już w składzie papieru te słowa:

„Nie mogę być dziś w Filharmonji. Eda“ Oschle... zimno...

Nie mogła, nie mogła inaczej. I na koncercie mieli się dziś spotkać. Nie pójdzie... nie może...

Oddała posłańcowi list i kwiat. Teraz do domu! Do domu...

— Ale co ja tam robić będę?... Co?... wspomnienie.

Na myśl o pustym pokoju, w którym pozostanie tyle godzin sama z nawalem czyhających na nią rozpaczliwych myśli, zadrżała całym ciałem.

Stała przed sklepem, gdzie w witrynie różnobarwną falą rozścielały się zwoje jedwabiu.

— Aha...

Tak, tak... Zrobi mu abażur taki sam, jak ten, który mu się u niej tak podobał. Duży, puszysty, jak kwiat chryzantemy.

Wybrała fular lila z odcieniem różowawym. Andrzej niezmiernie lubił tę subtelną, spokojną barwę — tak, jak lubił fiolety, heliotrop i ich delikatną woń.

Kupiła wszystko potrzebne i szła do domu, pełna nagle jakiejś cichej radości na myśl, że przez parę godzin ręce mieć będzie zajęte pracą dla niego.

Bezustannie myśleć o sprawieniu jakiejś choćby maleńkiej przyjemności Andrzejowi stało się potrzebą jej życia. Godzinami wyszukiwała po sklepach fotografii z kopjami oryginalnych obrazów i rzeźb, wybierała przepyszne sztychy z reprodukcjami Burne Jonesa, Rossetiego, Segantini, prerafaelitów, których był wielbicielem. Posyłała mu książki, które wiedziała, że obudzą zajęcie oryginalnością poglądów, pięknem formy lub głębokością myśli. Znała najdrobniejsze jego upodobania; wiedziała, jakie kwiaty przynosił nad inne, i posyłała mu je w wiązkach, lub wazonach; pracownia jego wyglądała, jak miniaturowy ogród.

Prostu dzień był dla niej stracony, jeśli nie poświęciła w nim choć paru godzin dla niego, nawet, gdy był czasem tygodniami nieobecny w mieście. W ostatnich miesiącach przed dniem dzisiejszym, przed tym okropnym dniem, wiedziała, że się coś psuć zaczęło. Chciała odkryć prawdę, a obawiała się jej, jak ukąszenia jadowitego gadu.

Tak, od trzech miesięcy Andrzej był inny...

Był zawsze równie dobry, równie serdeczny, witał ją twarzą uśmiechniętą, — ale Eda czuła różnicę.

Jakaś niewidzialna, a jak mur silna, zaporą stawała między nimi.

W życiu jego nie była już niezbędną, jak dawniej, przed rokiem, a w początkach ich miłości, jak nawet jeszcze przed pół rokiem. W uścisku jego nie czuła się tak upragnioną, wśród szaleńskich pieszczot i pocałunków nie tak pożądaną... Dlaczego? dlaczego? dlaczego? — pytała wśród bezsennych nocy, i jak zła wizja, stał przed nią cień jakiejś nieznanej, nigdy nie widzianej kobiety.

Gryzła wtedy poduszkę, by nie krzyknąć; ścisnęła dłonie, aż trzeszczały w stawach, i wsłuchiwała się w duchowem osłupieniu w monotonne bicie godzin na oddalonym zegarze kościelnym.

Nie, nie, nie! To nie może być, nie może! Jezus, Marja!

Zmizerniała, oczy jej podkrężyły się siną obwódka.

Patrzyła w lustro z przerażeniem.

— Muszę, muszę być ładną!

Starła się za każdym widzeniem podobać mu się, podbić go swoją urodą, ubraniem, wytwornością całej postaci, okazać mu swą inteligencję, dowcip, niebanalność swej nawskrósł artystycznej duszy. Była dobrą, bardzo dobrą, łagodną; starała się ujmować go swą słodyczą, swem serdecznem, głębokiem, psiem przywiązaniem. Po każdym widzeniu pytała siebie, czy nie zraziła go czem, jakim słowem niebacznem, czy nie było w niej czego nieestetycznego, jakiego przykrego dysonansu, któryby mógł razić subtelny wykwint jego ducha.

Czasem robiła sobie wymówki:

— Poco ja to powiedziałam? ... to było niepotrzebne, to musiało mu się niepodoobać...

Czuła, że coraz mniej interesują go sztychy, kwiaty, poezje, a nawet czar jej muzyki, która go tak porwała na jednym z jej koncertów i była pierwszą nicią, wiążącą ich drogi — zda się... na zawsze...

I coraz częściej opuszczała bezsilnie ręce, bo czuła, że to nie to... nie to... Przecież nie jest brzydszą, niż w ubiegłym roku... Nie, nie! Miłość uczyniła ją ogromnie dbałą o najmniejszy szczegół ubrania. Stanowczo ładniej, z większym smakiem się ubiera. Wyszczupiała, figura jej stała się bardzo wysmukłą. Ten angielski kostjum jest zgrabny i wytworny; w wielkim czarnym rembrandcie, odbijającym tak ślicznie od gorącego złota jej włosów, jest ładna, bardzo ładna. Mówi jej to już nie lustro, lecz spojrzenia oglądających się za nią na ulicy mężczyzn.

A potem... kto go tak kocha, kto tak rozumie, jak ona? kto tak wczuć się potrafi w najgłębsze tajniki jego ducha? kto trafniejszą uwagę zrobić umiał o jego pracy? kto nieomal myśli jego zgadywał?

Więc co? co?

... „Ona”...

Ona, ona, ona...

Ta „ona”, nieznana, której widmo stało przed nią w długie bezsenne noce z cudownie białą twarzą lubieżnej odaliski. I to nie była modelka, ani dziewczyna z bruku...

Zdaje jej się, że o tysiąc takich nie byłaby zazdrosną.

Ale to musiała być kobieta z „towarzystwa”, jak ona — Eda.

Tylko — nowa... nowa... inna...

Jezus, Marja! Oszaleje!

Męczyła się tak już całe trzy miesiące. Pytać go zaczęła w końcu:

— Ty inną kochasz — prawda?

Odpowiadał wymijająco, lub usta jej zamykał pocałunkiem.

Raz rzekł:

— Gdybym kiedy miał nawet jakie głupie, podle miłości, ty pozostaniesz zawsze moim dobrym, najlepszym duchem, do którego nieomal w modlitwie zwracać się będę...

Cierniem utkwili jej w sercu te słowa... Głupie, podle miłości...

Są więc... Jej panowanie skończyło się już... A jej duch niewiele widać miejsca zajmuje w jego życiu.

Coraz częściej męczyła go nowymi pytaniami.

Andrzej wiedział, że cierpiała, a zbyt tkliwe sam miał serce, aby nie cierpieć nad jej bólem. Ale milczał, — a cień z dniem każdym zwiększał się i rósł, rósł, aż ciężką chmurą zawisł nad istnieniem tych dwojga.

Ale musiało go to w końcu znużyć. Wtedy ona, lękając się być natrętną, stała się ogromnie nieśmiałą. Zdawało jej się, że wszystko, cokolwiek od niej pochodzi, jest mu niemiłe. I wpadła w drugą ostateczność. Ta niepewność siebie czyniła ją niejako duchowo niezgrabną, czy upośledzoną i wysuwała mimo-woli poza obręb myśli ukochanego człowieka.

Już miał inny, swój własny świat, w którym ona czuła się intruzem.

Nad tem wszystkim myśli Eda, przesuwając w wysmukłych palcach zwoje szeleszczącej materji, którą szybko osadza na drucianym szkielecie. Teraz jeszcze przewiązać wstążką.

Wiąże zgrabny pukiel, przystraja go pękiem bladożółtych złocieni, ucina skończone końce wstążki, — ale nie widzi nic. Widzi pracownię Andrzeja, którą przed parą godzin opuściła.

Z góry pada jasny snop światła na rozesłany miękki dywan.

W pośrodku sztalugi z rozpoczętem śmiałymi pociągnięciami pendzla studjum męzczyzny, w kącie drugie z rozpiętem świeżem płótnem.

Nad otomaną, na tle wschodniej makaty, wychyla się z mahoniowych, prostych ram biust Edy z obnażonem ramieniem i jej śniadawa twarz, dziwnie odbijająca od ciemnego złota włosów, z parą dużych, smutnych, fjołkowych oczu, o energicznych łukach brwi. Rozwieszzone na ścianach płótna majaczą niewykończonemi pracami: notatki, szkice węglowe ledwie podmalowane, studja, całe i półakty kobiece, parę nastrojowych pejzaży, fragmenty jakby skamieniałej w biegu myśli twórczej. Z tęczowego, z łamanego szkła wazonu, prawdziwego cacka o kształtach gotującego się do skoku węża, na małym stoliku — cudowną woń rozlewa wkoło duży pęk róż ponsowych i konwalji, wysypujących się z rozwartej paszczy gadu; obok mała cyzelowana szkatułka, dar Edy, pełna jej listów różnego kształtu i koloru; dwie chińskie filiżanki z niedopitą herbatą, parę pokruszonych biszkoptów. Na ścianie półka *antique*, pełna książek, prawdziwy chaos epok, stylów, poglądów, kierunków... Schopenhauer, Nitsche i św. Franciszek z Assyżu, Szekspir i Maeterlinck, Dante i Krasiński, Shelley i Poë, Musset i „Kwiaty grzechu” Baudelaire’a, Mallarmé, Kasprowicz i Staff, Biblja Wujka, obok Mirbeau, przepiękna proza epicka Zeyera, czar poezji Norwida i fantastyczno - astronomiczne hipotezy Flammariona, „Król Duch” i moderniści, Treny Kochanowskiego, Oskar Wilde i Andrejew, „La bas”, „Certains” Huysmans’a i mistrze paryskiego kabaretu...

Otwarte w rogu pianino bieleje szeregiem klawiszów, niby wyszczerzonych w złośliwym uśmiechu zębów. Na pulpicie pieśni skandynawskie Griega, obok na ziemi rzucony stos nut z otwartą kołysanką Chopina.

A wszędzie tyle kwiatów... Szerokie wachlarze palm, koronkowe baldachy paproci, duże, włochate, na krwawych, soczystych łodygach liście begonii... Wszystko takie znane, kochane, drogie — a takie już nie jej... nie jej... Być tam znów, być teraz na godzinę, pół, na chwilę!...

Co on teraz robi? co myśli? czy jest u siebie, czy... może... tam...

Eda widzi Andrzeja siedzącego w pochylonej, niedbalej pozie na wałku otomany, z wygasłym papierosem w opuszczonej ręce, a siebie z głową opartą o jego kolana.

Słyszy swój własny, gorący szept:

— Andrzeju, powiedz, powiedz!... Na wszystko cię zaklinam, powiedz... jeżeli jeszcze choć trochę... jeżeli choć trochę masz dla mnie... serca... jeżeli... cenisz mnie, jako swego przyjaciela najlepszego... najbliższego człowieka... Powiedz, co stało się między nami?...

Smutny wzrok Szeliskiego błąka się po otaczających sprzętach. Milczy.

— Andrzeju... ja tak proszę... tak bardzo, bardzo proszę.. Widzisz... to lepiej... Jeśli ty inną już... to... ja przecież czuję, że jestem tu zbędna... że... że... Przecież sam rozumiesz... to jest okropne być taką... niepotrzebną... między dwójkiem...

— Ja jestem podły... szubrawiec...

W Edzie serce bije jak młotem, słyszy jego uderzenia w mózgu. Zdaje jej się, że głowa jej — to pusty dzwon, w który raz po raz uderza żelazne serce, a za każdym uderzeniem dzwon pęka, łamie się, druzgocze...

I już wie, wie prawie wszystko...

Ale uśmiecha się, zachęca go. Musi za jakąś cenę dowiedzieć się wszystkiego z jego własnych ust.

— No, no? ... No, powiedz już raz... Andrzeju... noo... Widzisz... nic się nie zmieni... ja... będę taką, jak dawniej... taką samą... jeśli chcesz... jeśli mnie nie... Będę... twoją, jeśli ci jeszcze jestem potrzebna... Przyjdę, gdy zawołasz... odejdę, gdy... Pamiętasz? mówiłeś zawsze, że przede mną nie będziesz miał tajemnic...

Andrzej przytula ją mocno do piersi...

— Szubrawiec jestem — mówi, głos mimowoli podnosząc — szubrawiec! Co ja ci daję, prócz łez i cierpienia? A ty? ty... wszystko! Gdybym miał siły w łeb sobie pałać! Tchórz jestem! Poco ja żyję?

Ale ty... ty zostań ze mną! Cokolwiek jest jeszcze dobrego we mnie, to przez ciebie... ty... ty moja najlepsza w świecie... ty moje lepsze ja... ty duszo moja...

— Ale nie jedyna już, Andrzeju... nie jedyna, jak dawniej... prawda?

Andrzej milczy.

— To... to nie modelka, ani szwaczka... ani... prawda? To... to... jak ja...

Cisza.

Przez okno w suficie dochodzi stłumiony, niewyraźny szmer miasta, niby daleki szum zbałwanionego morza... Jak róże pachną... Eda tłumi jęk i pyta wolno, cichym głosem, jakby pytała swojej własnej duszy:

— Czem ona mi ciebie odebrała? Czem?

— Nie wiem... To pospolita, głupia gąska.

W Edzie wszystko drży...

— Ale ładna? prawda? Ładniejsza ode mnie?

— Nie wiem... nic szczególnego... ładne ma zęby...

Eda w tej chwili ma wrażenie, jakby ją tamta kobieta kąsała tymi ślicznymi zębami. O jak boli... jak boli...

— I oczy? prawda? oczy? jakie oczy?...

— Czarne... Ale nie pytaj więcej, dziecko, to męczy...

— Czarne, ładniejsze od moich, nie takie...

— Nie, twoje ładniejsze... w twoich jest dusza i takie smutne twoje oczy...

— Musi być bardzo biała, nie taka śniada, jak ja... Jak śnieg biała...

— Tak, bardzo biała.

— Czy ona... panna?

— Nie... nie pytaj...

— Mężatka?

— Tak.

— Czy... jest twoją kochanką?

— Nie.

— Ile ma lat?

— Dwadzieścia trzy.

— Trochę młodsza ode mnie... Czy często ją widzisz?

— Nie!

Andrzej zrywa się z otomany.

— Czego ty mnie pytasz? Eda! Poco? poco? Boże! poco ja ci to wszystko mówię! Byłbym ci i tak sam powiedział wszystko za tydzień... dwa!...

— Dlaczego?

— Bo jestem przekonany, jestem pewny, słuchaj, jestem pewny, że to za tydzień minie bez śladu... Kaprys... fantazja... ślepotą!...

— Nie, nie minie. Gdyby była twoją kochanką, to za parę miesięcy możeby przeszło, jak... twoja miłość dla mnie... Ale... skoro nią nie jest jeszcze...

— Ona... ona... jest już... moja...

W Edzie łamie się wszystko, wali, rozpada w gruzy. Ale wysączy tę truciznę do dna... do dna!

— I... ostatni raz... kiedy ją widziałeś?

— Może... przed... no... dawno...

Eda wie, że on kłamie w tej chwili.

— Podły jestem — szepcze Andrzej, i tak to brzmi, jakby odgadywał jej myśl ostatnią.

Jej jest w tej chwili niezmiernie, niewypowiedzianie smutno... Wydaje się jej, że żywą zamurowano ją, nie wiedząc o tem, w ciemnej, wilgotnej piwnicy. Wie, że w tej chwili z ciemnych kątów wypełzną oślizgłe gady, które pożerać będą jej młode, zdrowe ciało; ale jej to nie przeraża tak, jak myśl, że o niej tak już zupełnie, tak bez miłosierdzia zapomnieli, jakby była umarłą...

Andrzej klęczy teraz u jej nóg i tuli do ust jej zimne jak lód ręce. Ona tego nie widzi, nie czuje, jest gdzieś bardzo, bardzo daleko...

W ciszy upływają kwadranse...

Wreszcie uśmiecha się, wstaje, bierze pochyloną głowę Andrzeja w obie dłonie, całuje ją miękko, pochyla ją w tył, patrząc mu przez chwilę w oczy, i mówić zaczyna trochę podnieconym, nienaturalnym głosem:

— No, widzisz, dobrze, że powiedziałeś... no, widzisz... teraz ci lżej i mnie także...

Męczyłeś się tak długo... tak coś między nami stało, jak mur nieprzebyty, a teraz...

Eda czuje, że teraz jest stokroć gorzej. Chodzi po pokoju, bierze parę akordów na klawijaturze. Zaczyna się śmiać głośno.

— Pozowała ci kiedy?

— O, nie. Zanadto dba o swoją opinię — Andrzej wymawia te słowa z głębokim sarkazmem, — aby miała tu przychodzić lub pisywać do mnie. Głupia, pospolita, cyniczna; niema z nią o czem mówić...

— Ale jest na co patrzeć... Druga połowa twojej duszy — szydzi Eda. — Czy czytujecie razem, jak... my?

— A tak... Bociana. Literatura, odpowiadająca najzupełniej inteligencji tej pani.

Andrzej ma na ustach złośliwy uśmiech.

Eda śmieje się boleśnie jakoś i coraz ciszej... I nagle błyska jej myśl.

— Może on tak samo z tamtą szydzi — z niej?...

Wzdryga się.

— Nie! — krzyczy w niej coś, — nie! Tobo było zbyt podłe!

I karci się zaraz za te złe, gadzinowe podejrzenia.

Naraz wre w niej wszystko — żal, zazdrość piekąca, chęć zemsty — i rzuca mu przez zęby cynicznie:

— Jednego dnia ja, drugiego ona... Ty... lubisz taki przekładaniec!

Lecz już żałuje tych słów.

Andrzej z ogromnym smutkiem patrzy na nią.

— Przepraszam — szepcze Eda serdecznie.

I przeprasza go całą duszą, bo odczuwa trawiącą go boleść nad własnym upadkiem i zdradą kochającej go nad wszystko kobiety, cały tragizm targanej namiętnościami duszy. Zmysłowość, podsycana pewnie jeszcze przez tamtą, — niewypowiedziany urok nowości, który tak pociąga mężczyznę... Co jeszcze? Może piękność jej, czar niezwykły?...

Eda jest przeczytaną już książką, niema w niej nic nowego, Andrzej zna ją nawskróś.

Tamta może być głupia, nawet brzydka, ale jest nowa, inna...

I w tej chwili staje jej w myśli wiosna jej miłości...

To samo było z nią przed rokiem... to samo... Nigdy nie przypuszczała, że się to tak skończy... Myślała, że taka miłość trwa wiecznie...

I wie, że wtedy, gdy się zaczęło jej szczęście, jakieś biedne oczy tej, co była przed nią, dużo, dużo łez wylały; jakieś biedne serce tłukło się rozpaczliwie w czyichś piersiach w długie bezsenne noce...

Perpetuum mobile...

I wie także, że im mniej wierną, im mniej kochającą będzie ta kobieta — tem więcej będzie kochaną. A jeśli ma więcej sprytu, niż serca — zatrzymać potrafi przy sobie Andrzeja lata całe.

Kobieta póty jest kochaną, póki dla mężczyzny jest sfinksem.

Eda żałuje, że była za otwartą, za wylaną, za dobrą... Żałuje...

Ach, gdyby... gdyby ten rok mógł się wrócić!...

Z pozornym spokojem i sztuczną swobodą żegna Andrzeja.

Widzi, że jest upokorzony, przybity, i czuje z tego powodu jakąś złą w sobie radość.

Cierp, cierp za te wszystkie męki, które ja przechodzę! Cierp choć w setnej części, jak ja! I tak to więcej, niż jedna biedna dusza ludzka przenieść zdoła. — Czas na mnie...

Zbliża się do Andrzeja i całuje go mocno w usta, ale w tejże chwili myśli, że mu to może jest przykre.

On patrzy na nią smutno i jakby trochę przerażony. Eda wie, że mu jeszcze teraz potrzebna jej dusza, jej serce bez granic oddane, że mu jej teraz będzie brak.

Wie także, że on w tej chwili jest zupełnie pewny, że przyjdzie do niego jutro.

.

Eda patrzy bezmyślnie na gotowy abażur i powtarza w kółko: Skończyło się... skończyło się...

Po chwili wstaje, chodzi po pokoju, siada przy fortepianie... I znów przed oczami duszy staje obraz pracowni Andrzeja. Zmrok... On siedzi zasłuchany, ona gra... tę właśnie kołysankę...

Bierze pierwsze takty...

Naraz trząść się zaczyna, jakby z zimna.

Nie to!... tylko nie to! za nic!

Na podwórzu ktoś grać zaczyna na harmonji. Pospolita, oklepana, uliczna melodia męczy ją niewypowiedzianie.

I nagle, poraz już drugi dzisiaj, rzuca się na nią długo na uwięzi wolą hamowana straszliwa bestja bólu, ale ona już sił nie ma jej się opierać. Pada na

łóżko z jakimś nieludzkim łkaniem, wydobywającym się z najtajniejszych zakątków sponiewieranej duszy.

Noc. Eda leży z otwartymi oczami i patrzy bez ruchu na świetlane, fantastycznie powyginane plamy, które na suficie kładzie sączący się przez balustradę balkonu blask latarni.

Upływają godziny...

Jest już bardzo późno. Na ulicy ruch dawno zamilkł.

Ona nie śpi.

Nie zdaje sobie sprawy z niczego, nie czuje, nie rozumie nic, prócz tych dwóch słów, które powtarza z uporem manjaka:

— ...Skończyło się...

Godziny wloką się leniwie...

To nie może być, to nie może być, aby się tak wszystko skończyło!

Nie!

Wstanie jutro wcześniej... nie, dziś jeszcze, już świt niedaleko...

Pójdzie błagać go choć o okruchy dawnej miłości!

Nie, nie, nie pójdzie!

Nie będzie żebrała!

Dnieje.

Eda wstaje, ubiera się, jak zwykle.

O siódmej jest już na ulicy. Jest jeszcze szaro. Spotyka parę kobiet z koszykami; środkiem przejeżdżają zamknięte wozy z mlekiem i pieczywem; stróże poruszają miotłami pokłady kurzu. Zdaje się jej, że wszyscy ci ludzie patrzą na nią ze zdziwieniem.

Kieruje kroki w stronę alei. Pusto, głucho, zimno i ani śladu wiosny...

Nie. Do Andrzeja nie pójdzie.

O ósmej wchodzi do cukierni i każe sobie podać herbatę.

Czuje, że ma gorączkę.

Nie. Do Andrzeja nie pójdzie.

Ale gdzie to ona miała iść?

Aha... no tak, tak... Pójdzie do jego kolegi, Bohusza. Nie zna jej — to i cóż? Zato ona zna go dobrze z widzenia i z opowiadań Andrzeja. Zdolny artysta, uczciwy człowiek, pozatem marzyciel i chłopak ze złotym sercem. On jej poradzi...

Eda trzyma się tej myśli, jak deski ratunku... Przecież niepodobna, aby taki człowiek, jak Bohusz...

Nikt na świecie nie wie o ich miłości, nigdy na ulicy nie spotkano jej razem z Szeliskim.

Pójdzie do Bohusza i powie mu...

Co ona mu właściwie powie?

No, mniejsza... Już będzie wiedziała, co powiedzieć...

Spać nie może, do domu nie wróci...

Tam strasznie w domu... Oszaleć można...

Pamięta, że ma przy sobie pełną buteleczkę atropiny, zapisaną jej kiedyś przez lekarza od bólu oczu. Wsunęła ją prawie machinalnie w kieszeń przed wyjściem. Myśli, że od niej tylko zależy, aby to nieznosne cierpienie skończyło się odrazu.

Ale przypomina sobie, że ma w szufladzie biurka całą paczkę listów Andrzeja i jego fotografie; trzeba wszystko przedtem zniszczyć. Więc teraz to niemożliwe... niemożliwe...

Stwierdzeniem tego faktu oszukuje sama siebie; szepcze jej to instynkt samozachowawczy ludzkiego zwierzęcia.

Bo nie chce umierać, nie, nie!

Boże, Boże! Może się jeszcze stanie co takiego, że nie będzie potrzebowała umierać...

Pół do dziesiątej, — malarz już wstał pewnie...

Wiedziała, że mieszka gdzieś na Złotej, w pobliżu Marszałkowskiej, ale nie wie numeru.

Jakąś intuicją wiedziona, staje przed szarą kamienicą.

— Może tu...

Prawda. W bramie wyczytuje na karcie meldunkowej:

„Wojciech Bohusz, art. malarz, Nr 11“. Idzie po schodach szybko... potem coraz wolniej...

Irytuje ją szelest jedwabnej podszewki. Już tutaj. Wązki korytarz.

Stoi nieruchomo przed drzwiami. W korytarzu jest zupełnie ciemno.

Poco ona tu właściwie przysła?...

Aha... powiedzieć mu, żeby powiedział Andrzejowi...

Ale co?

Jakieś głosy...

Ktoś jest u Bohusza... Więc co teraz?

No, nic... odejdzie... wróci później...

Schodzi o piętro niżej. U dołu spódnicy przydeptuje taśmę, która się odpruwa. Zdenerwowana, jednym szarpnięciem odrywa ją.

Nie, wróci. To i co, że tam jest ktoś jeszcze?...

Co ją to może obchodzić?... Wogóle, co ją jeszcze na świecie obchodzić może?...

Naraz dygoce.

Może tam jest Andrzej?

W jednej sekundzie jest znów u drzwi, słucha...

Nie... to nie jego głos.

Nie, nie wejdzie, nie może...

Naraz robi się jej ciemno w oczach, i żeby nie upaść, opiera się na klamce.

— Kto tam? — słyszy jak przez sen głos za drzwiami.

Drzwi się otwierają.

Eda widzi malarza, niezupełnie ubranego, który, ujrzawszy ją, cofa się za uchylone skrzydło drzwi. W pokoju jest jeszcze jakiś mężczyzna.

— Czem mogę pani służyć...

Eda odpowiada, ale nie wie, co. Malarz także coś mówi, ale ona nic nie rozumie i nie pamięta, po co tu przyszła. Widzi tylko, że Bohusz dziwnie jakoś na nią patrzy, jakby się bał.

Drzwi się zamykają. Ona schodzi wolno na dół. Czuje się bardzo zmęczoną i opiera się o ścianę...

I myśli znów:

— POCO JA TU PRZYSZŁAM? to jakiś obcy dom... ja tu nigdy nie byłam... poco?...

Nie pamięta, kiedy się znalazła na ulicy. Taki tu straszny hałas!

Stoi. Ludzie ją potrącają...

Słyszy jakiś oburzony kobiecy głos obok siebie.

— Pani ślepa, czy co?

Teraz musi gdzieś iść... Do kogo? do kogo?

Przecież w tem mieście jest tylko jeden, jedyny, kochany, jej własność, jej dusza, jej świat — Andrzej!

...Do niego...

.

Po chwili puka już do drzwi jego pracowni, na czwartem piętrze, trzy razy, w odstępach. Szeliski otwiera i naraz cofa się przestraszony, zamykając drzwi.

Eda drętwieje.

Ktoś jest u niego... Może...

Może tamta...

To nic. Nie odejdzie. Usiądzie tu, na parapecie okna, o piętro niżej, i czekać będzie na nią. Musi przejść koło niej, — Eda ją zobaczy. Nie powie jej nic. Będzie siedziała spokojnie, bardzo spokojnie i tylko na nią popatrzy... A potem...

Jak on się przestraszył!...

Dawniej, idąc do Andrzeja, biegła zawsze tak szybko, w obawie, aby jej kto na schodach nie spotkał, — teraz nie boi się wcale.

Nic, a nic.

Mógłby teraz przechodzić obok niej cały legion znajomych, — czuje, że nie ruszyłaby się z miejsca.

Czeka.

Po paru minutach drzwi pracowni otwierają się i wychodzi z nich jakiś poważnie wyglądający, stary pan.

Westchnienie ogromnej ulgi dobywa się z piersi Edy.

Wchodzi śmiało do pokoju. Andrzej usprawiedliwia się, przeprasza; przeląkł się

ujrząwszy ją, bo taka blada, i potem wuj ze wsi był u niego; nie mógł jej wpuścić, nie mógł narażać na spotkanie.

Ją to nic nie obchodzi.

Wszystko: rozpacz, ból, radość z widzenia Andrzeja, wszystkie przebyte wstrząśnienia, znużenie nieprzespanej nocy — wytwarzają w niej straszliwy jakiś chaos.

Nie słyszy nic, nic nie widzi, stoi, jak słup kamienny.

Andrzej sadza ją na kanapie, całuje ręce, przytula głowę do kolan i patrzy na nią wzrokiem podobnym, jak Bohusz.

Po chwili układa ją, jak chore dziecko, na otomanie, przynosi poduszkę pod głowę, otula szalem.

— Prześpij się, moja ty biedna... Zmęczona jesteś... Śpij, dzieciно... kochanie moje...

Ach tak, spać, spać, spać!...

Niczego więcej nie pragnie. Uśnie. Tak miękko, ciepło... a ona taka zmęczona... A tu, blisko, w tym samym pokoju, jest on, Andrzej. Jak jej dobrze, jak dobrze!...

Przecież tamto tylko jej się śniło, ale teraz obudziła się, i wszystko jest dobrze, jak dawniej...

Wszak to ten sam pokój, te same obrazy, te kwiaty... Nawet te same ponsowe róże wysypują się z małej paszczy węża... Tylko zwiędły już i cicho, bez szelestu, padają krwawymi płatkami na mały stoliczek. Jak pachnie hjacynt...

Gdzie ona ten hjacynt widziała?...

A prawda, śniło jej się... wszystko, co złe — śniło jej się.

Wszystko jest tak samo, jak dawniej, — a jej się zdawało...

Andrzej ją kocha...

Widzi go. Siedzi przy niej i patrzy tak serdecznie... długo... Teraz wstał cichutko... będzie malował... ustawia sztalugi, nakłada farby... czasem popatrzy na nią...

Jak cicho... cicho... Jak dobrze...

Usypia.

.....
Mrok. Jakieś niewidzialne, prawie bezkształtne cienie pełzają po pracowni.

Eda budzi się.

Andrzej jest przy niej. Opiera głowę na poduszce tuż przy jej głowie i z ustami przy jej ustach szepcze cicho, pieszczotliwie:

— Przebacz mi... Przebacz... Moja ty dobra... biedna... kochana... Ja niewart Ciebie jestem... Ja już... z tamtą... nigdy... nigdy... Przebacz ty, moja miła... najmiłsza... Jakaś ty śliczna teraz, z tą bladą jak opłatek twarzą, z temi przepaścistymi oczyma, w których lśnią jeszcze brylanty łez... tych drogich łez, przelanych przeze mnie...

Całuje oczy, włosy skromnie...

— Przebacza mi? Przebacza?... Nie gniewa się już? Moja!...
Tuli ją coraz mocniej w uścisku, rozpalonemi wargami szuka jej ust...
Eda obejmuje ramionami jego szyję, i jednocześnie łona wstydu oblewa jej twarz.
Ale nie ma sił zapanować nad tym ruchem.
W coraz gęstszym mroku dostrzega w jego oczach błysk pożądania.
I znów pocałunki długie... długie... gorące... jak dawniej, upojenie...
szał...

.
Jest już zupełnie ciemno. Zegar wydzwania dziesiątą. Andrzej drżącemi rękoma zapala lampę. Jest zamyślony i milczący.
Eda czuje, że to było złe.
Myśli tak, przypinając kapelusz przed lustrem. Szerokie jego wygięte rondo okrywa jej twarz zupełnym cieniem; tylko gdzieś na falującej chmurze włosów migocą złote punkciki!
W lustrze widzi Andrzeja, który wzrok utkwiał nieruchomo w przestrzeni.
Eda gardzi sobą. Jaki wstyd! jaki wstyd!...
I znów patrzy.

...Jak on teraz daleko ode mnie... Ukradłam go jej na chwilę, — ale... on już do niej tęskni... Gardzi sobą — a tęskni... Brzydzi się sobą — a pójdzie do niej, może... dziś jeszcze... Pcha go tam siła jakaś fatalna, nad którą władzy nie ma... Pójdzie — jak pijak do wódki... A im więcej cyniczny, im bardziej brutalny będzie ten stosunek — tem więcej w nim grzęznąć będzie...

Coś przykrego, bolesnego staje w tym blado-oświetlonym pokoju między nimi...

Niby mgła ciężka, niby posępne cienie, utkane z ludzkiej słabości, upadku i niewoli bytu, z wiecznie jednako zaspokajanych pożądań ciała, z nigdy niesytych pragnień ducha,—wieczna, wieczna tułaczka Ahaswera... A na owej bolesnej nici snuje się dziwny głód tego, czego na ziemi niema wcale, głód boskiego, nieśmiertelnego pierwiastku, do którego każda najbiedniejsza dusza ludzka wyciąga ramiona i tęskni we łzach przez nieskończone męczarnie żywota.

.
Eda bardzo wolno nakłada długie rękawiczki.

Teraz wyjść jeszcze nie chce... jeszcze chwilę... chwilę...

Patrzy; rozgląda się po ścianach. Ledwie dostrzedz można kontury mających obrazów. Wzrok jej błąka się wkoło, zatrzymuje chwilę na szczerzącej zębów klawjaturze, rozsypanych nutach, ześlizguje po kwiatkach, książkach, więdnących płatkach róż...

Chce wszystko zapamiętać.

Tak... tak... Teraz...

Waha się, wreszcie wolno zbliża się do Andrzeja.

Teraz to już naprawdę koniec.

— Bądź zdrów...

On na chwilę przytula ją mocno do piersi i lekko całuje w usta. Nie mówi nic. Eda podnosi się trochę na palcach, bierze jego twarz w dłonie, pochyla ku sobie i całuje oczy.

Na policzkach czuje dwie jego gorące łzy...

— Trochę mu żal — myśli. — O ty... ty...

— Bądź zdrowa...

Drżąca mgła wzrok jej przesłania. Idzie ku drzwiom...

To wszystko, jak sen...

Obraca się raz jeszcze...

Andrzej stoi na tem samem miejscu, bez ruchu.

Smutno... beznamiętnie smutno... Jak te róże mocno pachną.

Edzie przypomina się w tej chwili, że na pogrzebie kogoś z jej krewnych tak samo pachniały umierające róże wśród snopów kwiecia na trumnie.

Wyszła.

Z cichym szelestem zamykają się za nią drzwi.

Eda wie, że tu już nigdy, nigdy nie wróci...

Wanda Stanisławska.

Kwiecień, 1907 r.

Jesteśmy w życiu widzami i aktorami:
Należy być widzem długo i z wygodnego fotelu, — grać krótko a mocno.

~~~~~ Liryczna rola na scenie wychodzi ładnie; w życiu też wychodzi, ale za kulisy.

~~~~~ Dużo większą sztuką jest udawać miłość, niż kochać.

~~~~~ Dowodem mądrości ludzkiej jest ubieranie prawdy w szaty. — Jakże potworną byłaby w swej nagości!

~~~~~ Gdyby ludzie smutni raz w życiu mogli zobaczyć siebie, byłiby weseli aż do samej śmierci.

Mara Morozowiczówna.

Ludzie najchętniej pomagają tym, którzy ich pomocy już nie potrzebują.

— Łączy nas wspólność ideałów, to znaczy: on mnie chwali, ja jego chwałę, potakujemy sobie nawzajem — i jest nam dobrze ze sobą.

— Każdego zajmuje głównie to, czego nie posiada; dlatego piszą o sile — słabi, o wolności — niewolnicy, o wierze — niewierzący, głusi i ślepi artystycznie — o sztuce, ludzkość — o miłości...

Czyżby artystom brak było piękna?...

Bajeczka.

Był sobie bardzo genialny artysta i pracował w biurze.

Pewnego razu pomyślał sobie: zbyt długo byłem niewolnikiem; postanowiam i postawię na swoim, że będę tworzył dzieła genialne i zmuszę ludzi, by mnie uznali, lub umrę z głodu.

Postawił na swoim, — i umarł z głodu

L. M. Rogowski.

Ważnym przyczynkiem do zachowania
współczesnej etyki — jest stróż do-
mu i służąca.

— Ręka rękę brudzi, — noga nodze nogę pod-
stawia, — współczesna etyka.

Ludwika Rogowska.

Kogo Pan Bóg stworzył niepotrzebnie?

Publiczność, która nie chodzi do teatru:
(Przebacz im, Panie Boże, albowiem nie wiedzą co czynią.)
Dyrektorów teatralnych, którzy nie płacą gaży,
(Przebacz im, Panie Boże, albowiem nie wiedzą, co czynią.)
Aktorów, którzy płacą swoje długi:
(Przebacz im Panie Boże, albowiem nie wiedzą, co czynią.)



- Życie ma blaski, o ile jest wyłącane.
- Moderniści radzą: — żyj chwilą.
A ja radzę: — żyj godziną, — bo i tak za dużo nie nażyjesz!
- Przykazanie mówi: — „Kochaj bliźniego, jak siebie samego.
A ja powiadam, że dużo przyjemniej, gdy to sam bliźni robi.
- Kobieta prędzej uwierzy w zaćmienie księżyca w południe, niż w to, że przestała być kochaną.

Stefanja Górska.

Można być głodnym cudzym głodem, trapić się cudzem cierpieniem, cieszyć się cudzą nadzieją; tylko nie można kochać cudzą miłością.

- Radością naszą nie jest to, co posiadamy, ale to, czego nie posiada nasz przyjaciel.
- Najsurowiej potępiają uwodzicielstwo ci, co szczęścia do dziewczyn nie mają.
- Chcieć zaletami duszy rozbudzić w kobiecie namiętność — to do wężu przemawiać muzyką.

Benedykt Hertz.

Gdy Naród Polski stawia pomnik Wieszczowi, — djabeł, chwyciwszy siebie za ogon, z uciechy sobą w powietrzu młynka kręci i śmieje się do łez...

- Gdy idziesz w daleką drogę, uświadom to sobie dobrze, iż każdy krok naprzód jest również krokiem oddalenia się.
- Twórca winien być podróżnikiem i popasać wśród ludzi krótko. Tako stanie się bóstwem. A niechaj zbywa pilno przyjaciół, bo ci wyjawiają jego codzienności.
- Płacze — niemoc jeno. Śmiech — że mądrości ni mocy nie wskazuje.
- Mądry i mocny patrz na świat i jego stany spokojnie. — Tak, jak wieki patrzają.
- Analizuj czyny — nie pobudki; bo chciał i nie zrobił — i zrobił, a nie chciał.
- Gdy cudzą rękę brudną widzisz, patrz, czy się od twojej nie powalała.
- Bywają ludzie, którzy wzdychają do skrzydeł, a zapominają, że mają nogi.
- W postępowaniu z bliźnim weźmij zasadę gry w szachy: nie zawsze, gdy można, bić należy.
- Jednostka — śmiertelna. Życ masą — żyć wiecznie.
- Mówią pesymiści: „Lasciate ogni speranza“.
- Mówią optymiści: „Niech żywi nie tracą nadziei“.
- Mówię ja: „Nadzieja — matka głupich“.
- Mądry ten, kto się mądrości nauczył. Jednak nie należy o to posądzać książkowca.
- Co zaś do dzieł moralistów: — głupi przeczyta, i nic mu to nie zaszkodzi, a mądry powie, że i on wie o swojej głupocie.
- Pasterz tem lepszy, im większe stado zegna w gromadę, napasie i upilnuje. Taki pasterz musi jednak umieć psy dobrać, bo inaczej może się zdarzyć, że go cielęta i owce strują.
- Bór dlatego wielki i mocny, bo każde drzewo rosło do słońca pod hasłem siły i bez najmniejszych skrupułów litości.
- Chcesz wieńca od tłumu? — pogadaj z dziesiątkiem jego przedstawicieli, a odechce ci się wieńca.

#18118.

- Chcesz chwalby? — Pokaż, coś uczynił najgorszego, twojem zdaniem. — Stąd morał: Światu pokazuj to, co właśnie tobą nie jest.
- Chwalą cię? bierz się do innej roboty, bo inaczej zbyt rychło trzoda cię strawi.
- Cnota jest od tego, żeby ją gwałcić. Stanowi to małżeństwo ideału z rzeczywistością. Kto tego związku nie szanuje, ma gorzkość w smaku własnego poczucia i minę charta, któremu zając umknął z przed nosa.
- Być stale w jednym środowisku: — zdarzyło mi się, że, często poglądając w lustro, podobałem się sobie.
- Krytykujesz? — Jest - żeś pewny, że twojej opinii psi później nie zjedzą? Odpowiesz, że tworzą: — Tak, aleś przecie ze psy nie kolega.
- Co przychodzi do głowy? — Moraliście zazwyczaj to, co posieli gdzieindziej...
- Zrób, a będzie zrobione: recepta na cuda.
- Moja rada: — rób, jak uważasz, a co ma być — będzie.
- Tym którzy się uważają za nieszczęśliwych, stawiam propozycję, czyby się nie zechcieli pomartwić na temat: mogłoby być troje oczu, a jest dwoje, — ach, jaka szkoda tego trzeciego.
- Świat jest dlatego ładny, bo: słońce świeci, -- dokuczyło, — no, ale będzie noc, pochmurno, — tak, ale będzie znowuż słońce pogodne. Kwiaty dlatego lubią, bo barwne, pachną i prędko umierają: — emocje zadowolone, litość i smutek. Jakąż wartość miałyby życie bez śmierci?

Wł. Rogowski.



Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

324011



1000087119